

odgłosy



21 (705)
23. V. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



PLAC WOLNOŚCI W KONCU XIX WIEKU

Foto: ARCHIWUM

ROMAN ŁOBODA
I MAREK WAWRZKIEWICZ

VI Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi

Impreza ta odbędzie się w dniach 24–26 maja br. i jak w ubiegłych dwóch sezonach została włączona w program III ŁÓDZKIEJ WIOSNY ARTYSTYCZNEJ.

Mamy nadzieję, że i w tym roku spełni ona nasze postulaty programowo założone.

Idea upowszechniania poezji, najszlachetniejszego i najczulszego instrumentu do wyrażenia uczuć i myśli, najbardziej pionierskiego gatunku w literaturze, w sztuce łączenia doświadczeń, przemyśleń i pragnień w prawdę ogarniającą tereny ludzkiej doli szerszej niż zasięg ramion i oczu, ta idea wymaga konsekwentnych i atrakcyjnych form realizacji. Wydaje się nam, że Festiwal w różnorodny sposób realizuje tę ideę, starając się udoskonalić formy upowszechniania.

Tradycyjne już spotkania poetów ze społeczeństwem łódzkim w domach kultury, bibliotekach, czytelniach — placówkach zakładów pracy kontynuujemy w przekonaniu, że doświadczenia i konfrontacje tych spotkań (o ile są dobrze zorganizowane i przeprowadzone) przynoszą obopólny pożytek. Bezpośredni kontakt pisarza, w konkretnym przypadku poety, nawet z potencjalnym odbiorcą poezji jest niekiedy drogowskazem dla piszącego odnośnie tych terenów wrażliwości ludzkiej i tęsknot, które w sferze dóbr niematerialnych nie zostały zaspokojone, zaś dla odbiorcy takie udane spotkanie z pisarzem może stać się impulsem budzącym wyższe pragnienia.

Bardziej atrakcyjną formę upowszechniania i popularyzacji poezji upatrujemy w takim przekazie poezji, który oddziałując na wszystkie receptory wrażliwości odbiorcy pomaga mu w uzyskaniu koniecznego skupienia i koncentracji niezbędnej do odbioru poezji w ogóle, a w szczególności poezji współczesnej. Muzyka, plastyka i światło to elementy, które towarzysząc słowu poetyckiemu ułatwiają jego odczucie i rozumienie. W ten sposób to, co nazywamy koncertem poezji nie jest niczym innym jak przygotowaniem publiczności do odbioru poezji poprzez wywołanie nastroju i utrzymywanie go zespolonymi gatunkami sztuki.

Zeszłoroczny koncert poezji w teatrze został poświęcony temu, co dla poety jest najbardziej osobiste i niezmiernie istotne. Wiersze o charakterze intymnych zwierzeń na temat tworzenia poezji — oto „Wyznania”, tytuł pierwszego koncertu.

Drugi tegoroczny koncert — „Głosy”, pragnie przekazać te treści poetyckie, które nazwalibyśmy sprawą ludzką w poezji. W tym duchu wybrane i zestawione

w konstrukcję poematu scenicznego wiersze poetów będą istotną częścią koncertu. Chcemy w „Głosach” zaprezentować utwory współczesnych poetów polskich, w tym również mieszkających i tworzących w Łodzi. Koncert ten, jak i poprzedni, świadczy o możliwości zintegrowania twórczych usiłowań różnych środowisk artystycznych.

Referaty festiwalu to inna forma kształcenia świadomości poetyckiej, to konfrontacja postaw, idei i konwencji, poszukiwań warsztatowych oraz form docierania i oddziaływania na czytelnika-odbiorcę w sensie artystycznym i społecznym.

Dyskusja zarówno na tematy referatów, jak i pośrednio do nich się odwołujące, to nie tylko spory o recepty i formuły między poetami; to wykuwanie na żywo, w obecności sympatyków i czytelników poezji, słowa poetyckiego, jego nośności społecznej i skuteczności artystycznego oddziaływania, to również niebagatelny czynnik kształtowania postaw.

Poza integracją środowisk łódzkich, Festiwal w swoim generalnym założeniu spełniać winien i spełnia postulat integracji poetów w całym kraju z różnych miast i różnych poetek poprzez wspomniane już dyskusje, a także rozmowy o poezji w kółkach. Osobiste kontakty i wymiana poglądów, wszystko to sprzyja zbliżeniu, a zatem, lepszemu rozumieniu dążeń i efektów pracy twórczej.

Zainteresowanie władz miasta, ich czynna pomoc i życzliwość i w tym roku towarzyszy festiwalowi, który stał się niebłahym dowodem żywych dążeń i osiągnięć kulturowych miasta. Rosnące z roku na rok zainteresowanie społeczeństwa w Łodzi oraz poetów w Polsce festiwalem świadczy o jego zdrowych założeniach i rozwoju.



Zjednoczona Republika Arabska przeżyła kryzys polityczny. Po zdymisjonowaniu w pierwszych dniach maja wiceprezydenta Sabri, w ścisłym związku z tym faktem, ustąpiło sześciu ministrów. W tej liczbie znaleźli się również: wicepremier i minister spraw wewnętrznych oraz minister wojny. Jednocześnie nastąpiły zmiany w Socjalistycznym Związku Arabskim. Z Najwyższego Komitetu Wykonawczego odszedł m. in. sekretarz generalny SZA. Prezydent Sadat powołał wkrótce nowy rząd, jego kierownictwo powierzając ponownie Mahmadowi Fauzi. Pozostał także dotychczasowy minister spraw zagranicznych — Mahmud Riad. Inne kluczowe stanowiska w rządzie objęli Kader Hatem (wicepremier i minister informacji), Ahmed Sadek (minister wojny) i Mamduh Salem (minister spraw wewnętrznych).

Zwołane na koniec ub. tygodnia Zgromadzenie Narodowe ZRA wybrało swym przewodniczącym H. Badawi, 18 deputowanych pozbawiono mandatu poselskiego, a w tym dotychczasowego przewodniczącego zgromadzenia. Tak więc w 7 miesięcy po utworzeniu nowej struktury władzy w Egipcie z Sadatem na czele — doszło do częściowej zmiany kierowniczej ekipy. Walka polityczna rozegrała się między ludźmi, którzy za czasów Nasera byli sobie bardzo bliscy. Stąd komentując to wydarzenie AFP zauważa, że nie jest to starcie między lewicą a prawicą, czy też pacyfistami lub zwolennikami zaostreżenia kursu politycznego.

Jakie są źródła tego kryzysu?

Prezydent Sadat w swoim wystąpieniu radiotelewizyjnym, wyjaśnił, iż kryzys rozpoczął się jeszcze w ub. miesiącu, kiedy to dyskutowano decyzje o utworzeniu federacji ZRA, Libii i Syrii. Sabri i jego grupa — oświadczył prezydent — sprzeciwili się projektowi federacji. Od tego dnia kryzys przybierał na sile. Decyzja o dymisji, zdaniem Sadata, miała wywołać jego zaognienie.

Tym oficjalnym wyjaśnieniem prezydent ZRA osłabił, choć nie przeciął, jali spekulacji. Komentatorzy bowiem przyczyn rozłamu wewnętrznego dopatrują się także w niedawnej wizycie Rogersa na Bliskim Wschodzie oraz polityce wewnętrznej. Jest znamienne, że w Izraelu zmian w czołówce Egipcia nie wiąże się z jakkolwiek zmianą polityki ZRA. Czy więc jedynym powodem kryzysu jest rozbieżność zdań na tle Federacji Republik Arabskich? Odpowiedź na to pytanie przyniosą już najbliższe dni, tymczasem powiedzmy nieco o samej Federacji.

Jego statut podpisany został w kwietniu przez trzech prezydentów, a następnie ratyfikowany. We wrześniu br. będzie poddany referendum w każdej z wchodzących w skład Federacji republik. Główne cele FRA zmierzają do ochrony odczynu arabskiej i jej niepodległości. Federacja ma stanowić ośrodek jednolitości i będzie otwarta dla każdego z państw arabskich. Koordynacji, zgodnie ze statutem, podlegać będą: polityka zagraniczna, obrona (w tym celu ma być utworzone wspólne dowództwo wojskowe), ochrona bezpieczeństwa wewnętrznego oraz rozwój ekonomiczny krajów. Każde przystępujące do Federacji państwo zachowuje prawo zawierania traktatów i innych porozumień międzynarodowych.

Idea powołania takiej federacji powstała jeszcze za życia Nasera. Pierwotnie wchodziły w rachubę ZRA, Libia i Sudan. Potem chęć sfederowania wyraziła również Syria, wycofał się natomiast Sudan.

Podpisany w kwietniu statut w Libii i Syrii spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, w Egipcie natomiast — z dużym chłodem. Choć bowiem zagwarantowana jest w nim daleko idąca autonomia każdej z republik, co formalnie nie powinno osłabiać roli ZRA jako partnera najsilniejszego — w praktyce może się zmniejszać dominująca pozycja Egiptu. Zresztą zasady Federacji sformułowane zostały dość ogólnikowo i dopiero życie może potwierdzić jej celowość. Jedno wszakże jest pewne — Federacja ma charakter antyimperialistyczny, a w rezultacie skoordynowania działalności militarnej może wzmocnić pozycję krajów arabskich.

Ostatnie wydarzenia w Egipcie budzą ogromne zainteresowanie na całym świecie. Niektórzy komentatorzy przewidują ich ciąg dalszy.

Z wydarzeń europejskich zwracają uwagę rokowania sześciu partnerów z EWG z W. Brytanią. Po kolejnej rundzie rozmów w Brukseli zbliżone zostały stanowiska w sprawie eksportu cukru oraz przystosowania się W. Brytanii do systemu rolnictwa EWG. Nie był natomiast dotąd dyskutowany problem eksportu produktów mlecznych, uważany za najtrudniejszy. Stąd rozmowy brukselskie oceniane są jako „bardzo poważne i skuteczne, choć jeszcze nie decydujące”. Wielu komentatorów łączy kompromisowy wynik dotychczasowych rokowań z kryzysem walutowym na Zachodzie. „Aurore” pisze na przykład:

„Można znakomicie podtrzymać bardzo serdeczne stosunki polityczne z USA, nie rezygnując jednocześnie z obrony swych pozycji finansowych. Z pewnością jednak problemy te mają zupełnie odmienny aspekt, jeśli Europejczycy będą jedynomyślni”.

Inaczej mówiąc — kryzys walutowy dopomógł do zbliżenia stanowisk w rokowaniach EWG. Mają więc powód Amerykanie, aby postępu w rozmowach brukselskich nie oceniać zbyt optymistycznie.

W. SŁAWSKI

BOGDA MADEJ

MAJOWE SPOTKANIE U WŁÓKNIARZY

W tych samych salach produkcyjnych, gdzie przed kilku miesiącami załoga tkalni „C” Łódzkiej Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju — „Uniontex” spotkała się z przedstawicielami najwyższych władz partyjnych i państwowych: Janem Szydłakiem i Piotrem Jaroszewiczem, tym razem gościła I Sekretarza KC PZPR — EDWARDA GIERKA.

W fabrycznych salach było gorąco, a pracujące krosna czyniły nieopisany hałas. I dopiero w przegładarni tkanin, właśnie tam, gdzie odbywała się nocna rozmowa włóknarzy sprzed kilku miesięcy, mógł Edward Gierka, witając się z robotnikami, zamienić kilka słów — słysząc, co do niego mówią i być słyszany.

— Serdecznie Wam dziękujemy — powiedziała jedna z robotnic — za to, co w tak krótkim czasie dla nas zrobiliście.

— A jakże mogło być inaczej? — odpowiedział Edward Gierka. — Przecież jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

I Sekretarz KC PZPR w czasie wizyty w „Uniontexie” zapoznał się z warunkami pracy największego zakładu przemysłu bawełnianego w Polsce. Jest on największy, ale nie najnowszy. W przedsalni średnioprzędnej na przykład tylko 17 proc. maszyn liczy mniej niż sześć lat, a 54 procent zainstalowano tu przed 1965 rokiem, przy czym 20 proc. maszyn pochodzi jeszcze sprzed roku 1945. Podobnie jest w innych oddziałach. Najstarszy park maszynowy mają tkalnia i wykończalnia. W tkalni 86 proc. maszyn pamięta narodziny XX wieku. W wykończalni jest tylko 8 procent maszyn nowoczesnych.

— Nasz przemysł — mówiła w czasie spotkania z fabrycznym aktywem Aurelia Żelazna — nazywa się lekkim, ale praca tutaj lekka nie jest. Latem w halach produkcyjnych temperatura przekracza 40 st. C. W „Obrońców Pokoju” pracuje większość kobiet. Pracujemy na trzy zmiany, a każda z nas ma jeszcze dodatkowy etat w domu. Nielatwo to pogodzić.

W „Uniontexie” pracuje 11.000 osób, a wśród nich 70 procent to kobiety. W ciasnej salce, gdzie odbywało się spotkanie z zakładowym aktywem, przeważali jednak mężczyźni. A i wśród osób przedstawiających Edwardowi Gierkowi sprawy zakładu była też tylko jedna kobieta. Właśnie Aurelia Żelazna — sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej. W bezpośredni sposób omówiła ona to, z czym załoga „Obrońców Pokoju” boryka się na co dzień. A więc brak części zamiennych, niewłaściwie zorganizowaną modernizację przedsalni średnioprzędnej, wadliwy system plac, który hamuje przechodzenie robotników do pracy przy nowoczesnych maszynach.

— Powiem wam, towarzysze prosto. — powiedział nóżniej Edward Gierka. — W tej pięcioletce chcemy przereakować na rekonstrukcję przemysłu lekkiego znacznie większe kwoty niż w ubiegłych pięcioletkach.

Powiedział też, że potrzebna jest wyrozumiałość i cierpliwość, gdyż usuwanie bolączek, które w Łodzi, na rastawy latami, wymagać będzie czasu.

— Ale chodzi nam o to —

by wziąć pod uwagę fakt, że nie wszyscy skorzystają ze stołków obiadu, to i tak chętnych znalazłoby się więcej. Dlatego też otwarto bary szybkiej obsługi w przedsalniach i w tkalni automatycznej, a w najbliższym czasie bary takie otrzyma tkalnia mechaniczna i wykończalnia. W ten sposób załoga będzie miała możliwość korzystania z posiłków.

Spraw nie rozwiązanych, które nurtują załogę „Obrońców Pokoju” jest więcej. Sporo mówiła o tym Aurelia Żelazna.

— Odczuwamy potrzebę — powiedziała — zwiększenia opieki nad pracującymi w fabryce kobietami. Chodzi o to, aby po ciężkiej pracy mogły dobrze wypocząć.

A to nie jest takie proste w zakładzie, który jeszcze do tej pory ma dla 11-tygodniowej załogi ośrodek wypoczynkowy o... 100 miejscach. I gdyby nawet założyć, że jest on wykorzystywany od połowy maja do połowy października, co nie zawsze jest możliwe, to na dziesięciu turnusach może odpocząć zaledwie niespełna tysiąc osób. A reszta?

I jeszcze dzieci. W „Uniontexie” zaledwie jedna piąta dzieci pracowników korzystała z kolonii. Teraz, po ostatnim liście Sekretariatu KC PZPR, dotyczącym wypoczynku dzieci, sytuacja powinna się poprawić.

— Dziękujemy Wam — powiedziała Aurelia Żelazna — że dzięki trosce kierownictwa partii, w tym roku więcej naszych dzieci będzie mogło wyjechać na letnie kolonie.

O sprawach załogi „Obrońców Pokoju” mówili też: Alfred Kurzawa, Jerzy Szymczak, Kazimierz Nagoda i Bogumił Klusek. Nie powiedzieli wszystkiego, bo trzeba byłoby mówić jeszcze długo. A i mówić zapewne chciałoby wielu. Toteż kiedy Edward Gierka po spotkaniu opuszczał już tkalnię, ciasnym kółem obiegły go robotnice. Pośpiesznie opowiadały mu o swojej pracy, jeszcze raz dziękowały, że wśród tylu zajęć znalazł czas, aby poznać ich sprawy, kłopoty i zamierzenia.

Jeszcze na sali, kiedy wszyscy oklaskami dziękowali za pozdrowienia i życzenia, jakie za pośrednictwem tu zebranych I Sekretarza Komitetu Centralnego Partii przekazywał całej łódzkiej klasie robotniczej, Edward Gierka powiedział:

— Chciałbym, aby łódzka delegacja, która przyjedzie na VI Zjazd Partii, mogła powiedzieć i o tym, co Łódź dała krajowi w 1971 roku i o tym, co w Łodzi zmieniło się na lepsze. Sądzę, że przy naszym wsobnym działaniu można będzie wiele powiedzieć i o jednym i o drugim.

BOGDA MADEJ

● Zawszą o wszystkim ●

Arcydzieła płyną za ocean

„SPIEGEL” — HAMBURG

Znakomity obraz Tycjana „Śmierć Akteona” wisiał dziewięć lat w Londyńskiej Galerii Sztuki, w sali nr 7. Dziś już go tam nie ma. Jego właściciel, hrabia Herwood, zażądał zwrotu obrazu i zamierza to wybitne dzieło malarskie sprzedać na aukcji. Brytyjscy kolekcjonerzy sztuki popadli w panikę. Są przekonani, iż płótno Tycjana podzieli los pewnego portretu pędzla Velasqueza, to znaczy kupi go jakiś amerykański milioner i wywiezie za ocean. Jak się powszechnie przypuszcza, cena za dzieło „Śmierć Akteona” będzie wyższa od ceny, za jaką sprzedano ów portret. A warto wspomnieć, iż sprzedano go za 2 miliony 310 tysięcy funtów szterlingów.

Niepokój wzbudza los nie tylko tego płótna, bowiem podobne niebezpieczeństwo grozi również wielu innym znakomitym kolekcjom w Wielkiej Brytanii. W zamkach Anglii, Szkocji i Walii

znajduje się niemało obrazów najwybitniejszych mistrzów malarstwa. W owych prywatnych kolekcjach znajdują się płótna Rubensa, Holbeina, Botticellego, Van Dycka, Rembrandta, Tycjana i wielu innych przesławnych artystów. Jednakże utytułowani właściciele tych arcydzieł utyskują na inflację oraz wysokie podatki i są zdecydowani zrobić dobry interes na sprzedaży swych obrazów.

Zamiar hrabiego Herwooda — sprzedać „Akteona” za granicę — określa się w brytyjskich środowiskach kulturalnych niemal jako zdradę narodową. Słowa nie tu jednak nie pomogą, skoro hrabia ma prawo rozporządzać swoją własnością, jak mu się żywnie podoba. Znamy londyński antykwariusz, U. Leggat, przepowiada: „Zagraniczna konkurencja na aukcji będzie tak silna, że tylko cud może uratować dzieło Tycjana”.

● Zawszą o wszystkim ●

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ KAROL BADZIAK — Czarodzieje czyli urodzeni w niedzielę

★ W. JAŻDŻYŃSKI — Ma dno złociste...

★ MICHAŁ STRZELECKI — Olimpiada — business — polityka

oraz recenzje, felietony, konkurs, nowela kryminalna.

NA EKRANY KIN WSZEDŁ NIE-
DAWNO NOWY FILM PRODUK-
CJI POLSKIEJ: „TWARZ ANIO-
ŁA” W REŻYSERII ZBIGNIEWA
CHMIELEWSKIEGO. SCENARIUSZ
OPARTO NA WSPOMNIENIACH
TADEUSZA R. BYLEGO WIĘZNIĄ
JEDYNEGO W EUROPIE OBOZU
DLA DZIECI (MIAŁ WTENCZAS
OSIEM, DZIEWIĘĆ, DZIESIĘĆ
LAT).

REPORTER PRZEDLUŻYŁ FIL-
MOWE ŻYCIE TADEUSZA; DOPI-
SAŁ JEGO LOSY POWOJENNE,
WIERZĄC, ŻE STANOWIĄ ONE
RÓWNIIE CIEKAWY MATERIAL,
JAK ZAPREZENTOWANY W
„TWARZY ANIOŁA”.

Mam trzydzieści pięć lat, a wydaje mi się, że żyję drugim życiem, podarowa-
nym...

Gdy opuściłem obóz, nie miałem ukoń-
czonych jeszcze dziesięciu lat. Niemcy w
popłochu niszczyli dokumenty, chcieli nas
spalić, zmagazynowali dużo benzyny, a
baraki zamknęli na klucz. Patrzyłem
przez okno: oprawcy w popłochu wska-
kują na sa.nochód, ogrodnik otwiera bra-
mę; cisza, po chwili wybuchnął krzyk
chłopców, wypadają z baraków, biegną
przez podwórze, przez otwartą bramę, ja
za nimi w lagrowym ubraniu, w mróz.
Wróciłem do baraku, chwyciłem koc, o-
winąłem go wokół mojego szkieletka,
tylko oczy było widać, i truchciłem po-
leciałem w miasto. Stuk drewnianych
trepów uderzających o płyty; dogoniłem
tych z obozu. Dorosli — cywile — wycią-
gają do nas ręce, boją się, uciekam, ucie-
kamy w różne strony, na koniec zmęczo-
ny i zrezygnowany kapituluję przed star-
szą panią, ciągnie kilku do mieszkania,
ja za nimi. W pokoju stała jeszcze choi-
nka; kobieta przyniosła stare ciasto, zapar-
zyła herbatę na sacharynie, podała ly-
żeczki; jak się pije herbatę lyżeczką, za-
pomniałem. Pani wolno kroji ciasto, ukła-
da na półmisku, rzucamy się na jedzenie,
zapychamy buzie, magazynujemy to i owo
za drelchami. Myślę o rodzicach, siedzę
jak na garnku z ukropem. Z trudem
przyjmuję słowa:

— Miałam syna, zginął w obozie kon-
centracyjnym, zostałam sama.

Plakała za nim. Wskoczyłem na uli-
cę; domy i pagórki w śniegu. Brnąłem
po pas w zaspach, orientowałem się na
klasztor, stamtąd już blisko do ulicy Po-
morskiej. Okna pozabijane deskami, za-
słonięte okiennicami. Nie wiem, ile sze-
dłem, może dwie godziny, a może wię-
cej. Wypoczywam w sieni czerwonego do-
mu, nagle seria z karabinu maszynowe-
go, głucho odgłosy detonacji na krańcach
miasta. Nogawka spodni przedziurawiona,
krew skrzepła, zrobiło mi się słabo, kuśty-
kałem, jeszcze tylko pół kilometra, jesz-
cze trochę, nareszcie nasz drewniany dom,
zamknięty żelazną antabą. — Mamo! —
zawolałem — Otwórz! Pewien mężczyzna
podszedł do mnie i powiedział, że matkę
znajdę w schronie na tej samej ulicy,

dwa domy dalej; schron wyglądał jak ko-
piec kartofli, na wierzchu przysypany
ziemią.

— Ludzie, otwórzcie!
— Kto tam?
— To ja, Tadek.
— Skąd się wziąłeś?
— Czy tu jest moja matka? — Otwórz-
cie!
Zaniemówili.
Ciszę przerwałem krzykiem:
— Mamo, to ja. Tadek, twój syn!
Ruszy na ulicy.
Matka przodem, ja za nią. Ruszy rzu-
cają w nas chlebem i słodyczami. Z garn-

chleb, po kilku godzinach żałowałem, pra-
wie trzy lata głodowałem.

Prostowałem igły dziewiarskie, siedzia-
łem na wysokim stolku, do blaszanego
pudełka wrzucałem wyprostowane igły,
były smarowane naftą lub oliwą, nafta
pryskała w oczy; każdego dnia prostowa-
łem tysiąc igieł. Po pewnym czasie pod-
wyższono normę do tysiąca, jak na dziec-
ko robota potworna. Jeśli ktoś nie wyko-
nał zaplanowanej normy zabierano mu
marmoladę i obiad; musiał biegać wokół
gruszki, lub studni, skakał żabką. Bito
nas na apelach i przy każdej nadarzają-
cej się okazji.

EDMUND ŻUREK

UCIEKINIER

Kiem ustawiłem się w kolejce po zupę
przed kuchnią poiwą. Wracałem, oticer
radziecki chciał mnie adoptować, zawieźć
do Moskwy; Niemcy wymordowali całą
jego rodzinę.

— Gdzie byłeś, synku tak długo? — py-
tała matka — myślałam, że nie żyjesz.

— W obozie na Przemysłowej!

— Nie ma obozów dla dzieci — nie mo-
gła uwierzyć — twój ojciec zmarł w Da-
chnau, napisali, że na serce.

Byłem w prawdziwym obozie. Przyszli
po mnie do domu; uciekłem im z tram-
waju, za drugim razem nie udało się.
Miałem osiem lat, a za przeciwników —
dorosłych, uzbrojonych ludzi.

Wyprowadzali mnie z celi, pytali wciąż
o to samo; skąd brałem gazety, w jakich
punktach je sprzedawałem i komu; odpo-
wiedziłem, że z kiosków, z redakcji, a
chodźłem różnie, pod fabrykami i po uli-
cach, dworcach, na to pokazywali cien-
kie kartki, zapisane drobnym drukiem. —
Kto ci je dał? Rozebrano mnie do naga,
skrupowano ręce i nogi, bił bykowcem,
nie zartowali — po niemiecku umiałem
do dziesięciu, elf, zwöll, zwanzig... wbiłali
mi w skórę; myliłem się, zaczęli od
nowa. Nie zdradziłem nikogo, bo nie mo-
głem, nie znalazłem mężczyzn wkładających
ułatki w moje gazety, ich nazwisk i adre-
sów...

— Jakbym słuchała opowiadania twoje-
go ojca, biedne dziecko — przerwała
matka.

— To dopiero początek, w obozie...

— Nie zmyślaj, ty wciąż o jakimś obo-
zie, chyba jesteś chory... to pewnie z bie-
dy. Pracowałam w fabryce u Niemca,
cierpiałam nędzę, sama, bez ciebie...

— Mamo, byłem w prawdziwym obo-
zie! Pierwszego dnia dałem kolegom

Chorowałem na tyfus, szkarlatynę i ja-
glicę.

Tak opowiadałem matce, przerywała mi,
bo nie dokoczyła wszystkiego o ojcu:
więc spalono go w Dachau, matka nie
wierzyla w jego śmierć, przysłała pismo,
że może odebrać ubranie.

Matka chorowała, wpadliśmy w nędzę.
Jako dziesięcioletni chłopiec utrzymywa-
łem dom.

Zwoziłem drewno na opał, przynosiłem
chleb. Nająłem się znowu do roznoszenia
gazet; teraz miałem lepiej, nie strzelano
na ulicach, a w czterdziestym pierwszym,
drugim — uciekałem z łapanek, nocowa-
łem po strychach, w ogrodzie i w ustę-
pach.

Roboźnicy chętnie kupowali od małych
gazeciarzy, ode mnie również, pewnie z
litosci; byłem chudy jak śmierć na dzie-
cięcych malowidłach.

Zebrałem, handlowałem świętymi obraz-
kami i śpiewałem w tramwajach.

Wspomnienia z obozu... Nie mogłem so-
bie z nimi poradzić.

Na ulicy poznałem oprawcę z Przemys-
łowej, chodziłem za nim, modliłem się,
żeby nadszedł milicjant. Stróż porządku
przyszli, gdy go nie oczekiwałem i kie-
dy był mi zupełnie niepotrzebny; odstawił
sprawnie dziecko na komendę, a z ko-
mendy na Zieloną do Izby Zatrzymań,
gdzie w świetnym towarzystwie bawilem
ponad dwa lata.

— Pobudka! — przeraźliwy gwizdek.

— Baczność! Równaj w prawo!

Miałem uczulenie na punkcie rozkazów,
jeśli poprosili, przemówili łagodnie — ku-
powali mnie na długo. Za dobre słowo
dałbym posiekać się na kotlety. W mili-
cyjnej izbie tęskniłem za wolnością. Za
matką, starą, samotną. Uciekłem po raz

pierwszy. Odtąd moje życie stało się cią-
gią ucieczką od zamknięcia i skoszarowa-
nia. Poszedłem do matki, niedługo cie-
szyłem się wolnością; posłano mnie do
pogotowia opiekuńczego; tu już znacznie
lepiej, odzylem. Wychodziłem samotnie na
ulicę. Znow dałem drapak na Pomorską.
Milicjant się zagapił, ale wychowawca
znał moje zwyczaje; handlowałem, rozno-
siłem prasę. Po prostu pracowałem.

I stało się to, czego się po sobie nie
spodziewałem: trzynastoletni szczawik u-
kradłem oszczędności z matczynej skar-
bonki. Zaplanowałem podróż po kraju,
zwiedzanie miejsc, o których tylko sty-
szałem. Nie zdążyłem wyjechać za rogatki
mojej Łodzi i już nosem stuknąłem w
glinę. Ponowny transport do pogotowia o-
piekuńczego, zostałem rekordzistą. Teraz
już nie miałem dokąd uciekać, po kra-
dzieży pieniędzy matce, nie pokazałbym
się jej na oczy, za nic w świecie.

— Powiedz, Tadzio, co się z tobą dzie-
je? — pytał wychowawca.

— Nic, proszę pana, w porządku.

— A twoje ucieczki? Nie mamy tutaj
komfortu, ale ty uciekasz w noc, w nie-
pogodę. Pracujesz ciężko!

— Ale na wolności.

— Musisz się uczyć, zdobyć zawód.

— Ojciec zginął, matka umiera, nie
mam siostry, ani brata, krewnego ani
bliskiego. Ale pan i tak tego nie zrozu-
mie.

— Czyżby?

— Wydaje mi się jakbym żył w dwóch
czasach równocześnie, w teraźniejszym i
minionym, chodzę, jem, nagle wydaje mi
się, że jedzenie, które dajecie, jest jeszcze
gorsze niż naprawdę, a laszki stają się
lachmanami. Kroczę korytarzem, a widzę
siebie w obozie; dwa szeregi chłopców,
zdejmując bluzy oddają ją koledze z
przeciwka — szuka wszy, jedna wesz —
jedno uderzenie dla mnie, a dla niego
kromka chleba; zimna noc w baraku, są-
siad kradnie mi koc; choruję, ktoś leczy
moje oczy zaatakowane jaglicą; uderzenie
pięścią opiętą w czarną rękawiczkę; bie-
gam wokół gruszki, padam ze zmęczenia
twarzą w śnieg. Uciekam od tych obra-
zów. Na ulicy, w tłumie, czuję się wol-
ny; sam, choć z ludźmi. Wyzwolony.

— Bredzisz. No, wiesz, ty masz fanta-
zję. Obóz dla dzieci? Tego jeszcze nie
było...

Poznałem różne schroniska dla młodzieży.
Opieka nad młodzieżą po wojnie nie była ta-
ka jak teraz; brakowało jedzenia, ubrania
nosiliśmy nie na miarę, zarządzali nami
ludzie z powołaniem do interesów. Od-
transportowano nieoprawnego zbiega do
domu dziecka w Pławnie koło Radomska.
Mieszkał w pałacu, blisko rzeki; jeź-
dziłem wierzchem na koniu, orałem, zbiera-
łem pszczeli miód, odbywałem długie
spacery w lesie. Przyjaźniłem się z przy-
rodą.

Nie korzystałem z bursy w Radomsku,
codziennie kilkanaście kilometrów — tam
i z powrotem — przemierzalem pieszo do
mojego pola i mojego lasu. Nie wytrzyma-
łem, pękłem ponownie. Pieszo szedłem
do Łodzi, wpływ przebrnąłem rzekę, zry-
wałem owoce w ogrodach, wstępowałem
do gospodarzy na zsiadle mleko i kartof-
le, spałem w stogach. Niewygody węd-
rownika znosiłem doskonale, już jako 5-
letni pracowałem poza domem. Natrafiłem

Dalszy ciąg na str. 8

Dni Oświaty, Książki i Prasy

Konkurs literacki

W konkursie, którego zadania publikować będziemy przez cały maj, nie
odstępujemy od zasad znanych Czytelnikom z poprzednich konkursów. Od-
powiedzi — na kartach pocztowych — można nadsyłać na wszystkie zadania
konkursowe, można też rozwiązać jedno z nich. Losowanie nagród odbędzie
się po zakończeniu konkursu. Ci, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania
i nadesłają trafne odpowiedzi, automatycznie zwiększą swe szanse w losowa-
niu.

Organizatorzy konkursu: WYDZIAŁ KULTURY RADY NARODOWEJ
M. ŁODZI, WYDZIAŁ KULTURY WOJEWODZKIEJ RADY NARODOWEJ
W ŁODZI, WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE, PP „DOM KSIĄZKI” I REDAK-
CJA „ODGŁOSÓW”. Dla zwycięzców konkursu przygotowano nagrody:

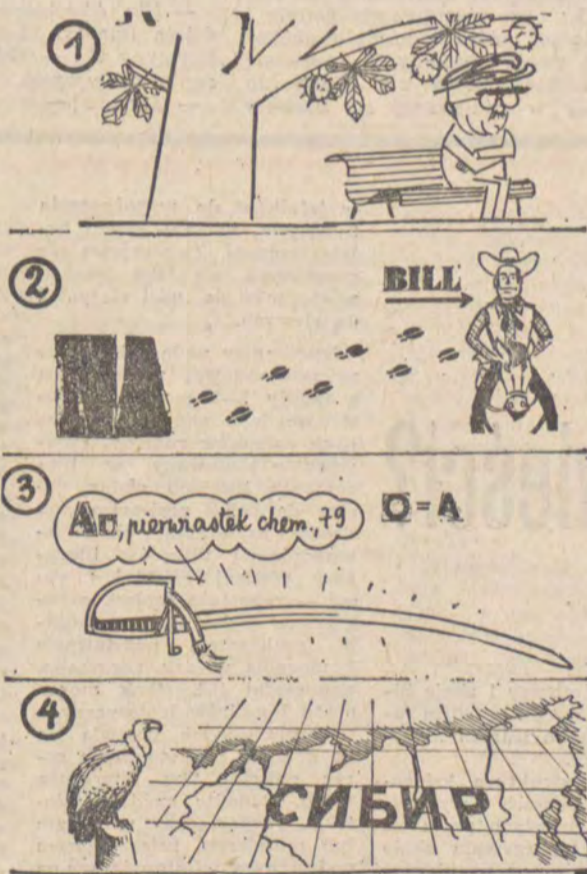
- * Dwa komplety po 15 płyt. A. Mickiewicz „Pan Tadeusz” — po zł 700.—
- * Dwie reprodukcje malarstwa (L. Wyczółkowski — „Orka”) — po zł 400.—
- * Pięć egzemplarzy Małej Encyklopedii Powszechnej PWN — po zł 250.—
- * Dziesięć albumów fotograficznych pt. „Łódź”, WL. — po zł 100.—
- * Dwadzieścia bonów książkowych po zł 100.—

Odbierać je będą nasi Czytelnicy w pięknej, nowoczesnej księgarni „Domu
Książki” przy ul. Piotrkowskiej 11, która w tych dniach została otwarta.

ZADANIE KONKURSOWE NR 3

Wszyscy znamy zasadę, na jakiej tworzy się i rozszyfrowuje rebus. Sta-
nisław Ibis-Gratkowski narysował rebusy, może trochę nietypowe, bardziej
umowne, ale jednak dość jasne, aby skojarzyć owe rysunki z tytułami ksią-
żek JANA HUSZCZY, ANTONIEGO KASPROWICZA, EDWARDA SZUSTRA
I APOLONIUSZA ZAWILSKIEGO.

Zadanie jest więc proste. Na karcie pocztowej prosimy wpisać nazwisko
autora i tytuł książki. Odpowiedzi należy przesyłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy” — „Konkurs literacki”.



ROZWIĄZANIE KONKURSU

„ZIEMIA ŁÓDZKA W GRAFICE”

Zakończyliśmy nasz konkurs,
na który nadesłano 575 odpow-
wiedzi. A oto rozwiązanie: 1.
Zgierz, 2. Warta, 3. Łęczycza, 4.
Działoszyń, 5. Piotrków. W wy-
niku losowania nagrody otrzy-
mali:

bon towarowy wartości
1500 zł — M. Moroniewicz,
zam. Łęczycza, Ozorkowskie
Przedmieście 80.

bon towarowy wartości
1000 zł — Irmina Piomińska,
zam. Piotrków Trybunalski,
Wojska Polskiego 50 m. 21.

bon towarowy wartości 500 zł
— Danuta Kłysz, zam. Łódź,
Lumumby 11.

Po odbiór nagród prosimy
zgłaszać się do redakcji tygod-
nika „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96, III piętro, w godzina-
ch 10 — 12.



EWA OSTROWSKA

Miłosierdzie

Stara zajmowała pokój od frontu. Był to duży pokój; dwadzieścia dwa metry kwadratowe, z dębowym parkietem, szerokimi, weneckimi oknami; słoneczny i widny — okna wychodzące na południowy zachód.

I po co takiej starej taki piękny pokój? Stara liczyła sobie prawie osiemdziesiąt lat, a wyglądała na więcej; próchno, dychawica, powinna już być dawno zdechnąć, a nie blokować pokoju; widnego, słonecznego, całe dwadzieścia dwa metry kwadra-

towe. Stara nażyła się wystarczająco długo, za długo, zbyt długo, prawie osiemdziesiąt lat — ho, ho, wiek co się patrzy, tylko pozazdrościć starej jej długowieczności; z jakiej racji taka jeszcze się pałała po tym świecie, po tyłu widnych metrach kwadratowych, wykładanych dębową, przedwojenną klepką? A jak kurczowo trzymała się tego swego zafajdanego życia, aż przykro patrzeć, że też człowiek potrafi być tak wzytym w wszelkiej godności, a nawet — zwykłego, ludzkiego poczucia przyzwoitości.

Stara wstaje po nocy. Dusi ją starcza astma. Szura, dosuwając ostrożnie nogę do nogi, przydeptanymi kapcami. Drzwi skrzypią, chociaż pragne ostrożnie, cichutko, potajemnie, ponieważ wie, że jutro znowu będzie piekło o to, że dziś w nocy wsiadła. Drzwi skrzypią, stara nie potrafi ich sobie nałwici. Jest giucha, a przecież słyszy, jak strasznie głośno skrzypią zawasy. Astma rozdyma piersi, szarpie płucami. Dobry Boże, żeby ktoś wiedział, jaki to okrutny los być tylko zwykłą starą; tylko starą, prawie osiemdziesięcioletnią, budzącą się w środku nocy, ze śmiertelnym dławieniem astmy i tym strachem przed wieczną nocą. Boże, żeby ktoś wiedział, jaki to tragiczny los być tylko zwykłą starą; czekającą na śmierć, która przyjdzie może każdej nocy, w ciemności. Drzwi skrzypią, stara szura nogami, kapcie spadają jej z wykrzywionych reumatyzmem i starością stóp; wstrzymując atak astmy przesuwa się po ciemku do kuchni, nie wolno zapalać jej światła, nie wolno jej zdradzić się, że była w nocy w kuchni i zapalała gaz, bo nie wolno jej korzystać z gazu, ma sklerozę, jest niebezpieczna dla otoczenia, źle wyłączy gaz i wytruje cały dom; wciąż dławiąc się swoim strachem i astmą, przygrzewa, pełna chytrej nadziei, że tym razem uda się jej oszukać współlokatorów, te swoje żółka, od księży bonifratrów, wierzy w ich cudowną, magiczną wprost moc, która sprawi, że ona nie umrze jeszcze pośrodku tej nocy, w modlitwach prosi, aby śmierć zabrała ją w pełny dzień, w słońcu i świetle, bowiem boi się ciemności jak dziecko, noc wydaje się być lepka, kosmata, obrzydliwa, pokurczona, jak ona sama; te żółka od bonifratrów ocala ją przed śmiercią wśród ciemności, więc musi je koniecznie zaparzyć, za wszelką cenę zdążyć zaparzyć, wypić, krztusząc się i parzac.

Hałasuje, szurając pokręconymi przez reumatyzm nożyskami po kuchni, garnki wypadają jej z powyginanych, pokurczonych palców, już ona w dłoniach nie ma siły, nawet czucia, ledwo co potrafi utrzymać tymi swoimi wstrętnymi paluchami, a prosi, jaka zażarta, jak "się wczepiła nimi w życie, nie chcą go puścić, były" je tylko "przedłużę" o dzień, o tydzień, o miesiąc — i dalej blokować dwadzieścia dwa metry kwadratowe wykładane dębowym parkietem. Solidny parkiet, ale u tej starej wyglądał jakby za przeproszeniem... lepiej nie mówić, zapakany, brudny tak, że jak wreszcie te dwadzieścia dwa metry się oswobodziły, to trzeba było zębami...

Próbowało się z nią załatwić sprawę po dobroci. Ale czy z taką starą można cokolwiek załatwić po dobroci, po ludzku?

Kochana pani Dominiko, jakie u pani piękne meble. Kochana pani Dominiko, a nie ciężko to pani tak samej? Czemu panią synowa do siebie nie weźmie? Wstyd, że najbliższa rodzina i taka bez serca. Może by pani czego potrzebowała? Nie krepować się, kochana pani Dominiko, poprosić,

ludzie dobrzy wokoło, pomogą, jakby pani potrzebowała coś załatwić, załatwimy, pomożemy. Kochana pani Dominiko, a niechże pani dziś nie wstaje, słyszeliśmy jak panią całą noc astma dusiła, to straszne, tak się męczyć. Mleka z miodem i masłem przyniosłam dla pani, kochana pani Dominiko, niech pani szybko wypije, póki gorące, na piersi dobrze zrobi. Kochana pani Dominiko, jak u pani zimno, zaraz mąż przyjdzie, węgla przyniesie i w piecu napali. Kochana pani Dominiko, wyniesiemy pani śmieci, dziś mróz i ślizgawica, co z miasta pani przyniesie, nie może pani wychodzić, przewróci się pani i nieszczęście gotowe. Kochana pani Dominiko.

Jacy dobrzy są ludzie. Aż za serce ścisła. Dobrzy. Pomogą. Zatrzeszcza się. Napoją gorącym mlekiem z miodem i masłem. Kompot ugotują. Ciepły i świeży chleb z piekarni przyniosą. Napalą w piecu. Spytają, czy czego nie potrzeba. Uśmiechną się serdecznie. Tacy dobrzy ludzie. Sami dobrzy ludzie.

Stara zamykała oczy. Głupia stara; plakała wdzięczna ludzkiemu miłosierdziu.

Podoba się pani ten kryształ? Niech go pani sobie weźmie, mnie niepotrzebny, do grobu nie zabiorę. Niech panią Bóg pobłogosławi za dobre serce.

Głupia stara, przeżyła tyle, tyle lat, prawie osiemdziesiąt i dziękowała ludziom za ich bezinteresowne miłosierdzie. Sama była zachlanna — ale tylko na życie; czepiała się go kurczowo; jak dziecko bała się ciemności. Czy w tym wieku nie wszystko jedno; jak się i kiedy umrze? Czy w jasny dzień, w słońcu, czy pośród nocy? Cóż za różnica?

A może trzeba by właśnie dożyć osiemdziesięciu lat — aby wiedzieć i poznać: lepki strach przed ciemnością, która czyha, gotowa w każdej chwili otoczyć, zasłonić oczy, przydusić oddech, stłamsić ciężarem piersi — i ani głosu, ani wołania o pomoc? trzeba by to noc po nocy przeżywać: noc po nocy umierać. Trzeba za sobą zostawić osiemdziesiąt lat życia — nagle niepotrzebnego, nieprzydatnego, pustego, oślepego. Trzeba by mieć to wszystko za sobą po kolei przeżyte — nieodwracalne, bez żadnej nadziei, i trzeba by mieć świadomość — że nie może być dana żadna nadzieja.

Życie starej:

Zwykłe. Pospolite. Nic szczególnego.

Życiorys:

Urodziła się dnia 19 stycznia 1895 roku. Skończyła swoją edukację na gimnazjum. Potem wyszła za mąż — młodo. Mąż był zawiadawcą stacji. Miała ośmióro dzieci, rok po roku, z których czworo pierwszych umarło, bo pierwsza wojna światowa, tułaczka, głód, nędza. W 1928 roku umarł mąż, na gruźlicę, pozostałość po tułaczce. Została sama z czworgiem małych dzieci. Wychowała je. Wykształciła. Troje zgi-

nęło podczas drugiej wojny światowej. Cztery lata temu pochowała ostatniego syna. Przeżyła go.

Życiorys starej; szyfr do odczytywania ludzkiego życia: nadziei, radości, miłości, poświęcenia, ofiarności, rozpacz, bólu — i samotności. Odczytać to między wierszami życiorysu starej. Że zwykłego, pospolitego życia.

Ale to takie trudne, zwłaszcza, że ta stara mieszkała i blokowała swoją beużyteczną starością, przeżytym życiem aż dwadzieścia dwa metry kwadratowe, widne, słoneczne, z oknami wychodzącymi na południowy-zachód. Dwadzieścia dwa metry kwadratowe przestrzeni życiowej dla jednej starej, która jest beużyteczna społecznie? Nieprzydatna społecznie?

Ta stara, co zajmowała pokój od frontu, doprawdy, dokuczyla wszystkim współlokatorom. Próbowało się z nią załatwić najpierw po ludzku, po dobroci. Przychodziło się do niej, że zwykłej ludzkiej życzliwości, jak człowiek do człowieka, przyniesiemy pani węgla, napalimy w piecu, niech pani nie dźwiga, w pani wieku nie wolno, należy się oszczędzać, może się pani poczęstuje, może pani zrobić zakupy, ziółek zaparzyć, kochana pani Dominiko?

Dwie rodziny i ta stara zajmująca słoneczny pokój od frontu — w jednym wspólnym mieszkaniu. Dwie rodziny — pierwsza: małżeństwo w średnim wieku, przydatne społecznie, chociaż bezdzietne, ale z psem, rasowym foksterierem, który przepada za cielęcinką, a nie znosi smażonej wieprzowiny, szkodzi mu na żołądek. Druga rodzina, małżeństwo w średnim wieku, z jednym dzieckiem. Małżeństwo z rasowym foksterierem: ona nie pracująca, przy mężu, i przy psie, on — technik budowlany. Małżeństwo drugie: urzędnicze.

Stara nie zawsze zajmowała sama aż tyle metrów. Mieszkała w tym pokoju od dwudziestu pięciu lat, kiedyś tylko z synem, później, gdy syn się ożenił, z synową, a gdy przyszły wnuki, dwadzieścia dwa metry kwadratowe zajmowało pięć osób. Syn piętnaście lat temu wyprowadził się do innego, bardzo odległego miasta, w którym otrzymał mieszkanie i pracę. Cztery lata temu umarł na zawał serca, ta stara została powiadomiona przez synową telegramem: Pogrzeb w środę o godzinie piętnastej.

Pierwsze małżeństwo, bezdzietne, ale z psem, rasowym, zajmowało w kołchozowym mieszkaniu pokój większy metrażem od tego, w którym mieszkała stara. Drugie małżeństwo i dziecko miało pokój największy, przedzielili go sobie ścianką działową na dwa, włączył jeszcze spore pokoje, ale niewygodne: podłużne kieszki; i okna od północy, więc ciemno, światło nierzaz w dzień trzeba palić. A ta stara zajmuje najlepszy pokój, najpiękniejszy: słoneczny, widny, południowy za-

Dalszy ciąg na str. 6

wanie na życiorysy i wspomnienia o Leninie, książkę Reeda — Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem, Wiesiołego — Rosja we krwi skapana. Coraz liczniejszych odbiorców (ale prawie wyłącznie wśród mężczyzn) znajdującego pozycje omawiające współczesne wydarzenia i przemiany polityczne i gospodarcze, komentujące zwłaszcza zagadnienia polityki międzynarodowej. Do najbardziej poczytnych zaliczyć m. in. należy Hirszwicz — III Rzesza i Arabski Wschód, Moczulskiego — Polityka w stalowym hełmie, Gerharda — Czas generała, Kaczyńskiego — Raport Komisji Warren, Kowalskiego — Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie, książki Jaszuskiego. Ostatnie doroczne dekady „Człowiek — Świat — Polityka” wprowadziły spore ożywienie w czytelnictwo tego rodzaju publikacji.

Z jednej strony od lat obserwowane przez bibliotekarzy poszukiwanie przez czytelników pamiętników oraz biografii postaci historycznych, artystów i pisarzy z lat

dawnych, z drugiej rosnące zainteresowanie wydarzeniami historycznymi najwęższej daty opisywanymi prawie bez dystansu. Odległe epoki i zawsze chętnie wypożyczone książki Kosidowskiego, Cera-ma, Krawczuka, Neuberta — Z kraju faraonów, Lamba Hennibal i zwiększające się stale kręgi czytelników literatury popularizującej problemy podboju Księżyca i przestrzeni kosmicznych. Osobny rozdział stanowią upodobania wielu czytelników do dziedziny prawa i tematyki różnych procesów cywilnych i politycznych, stąd ustalona pozycja książek wybitnych prawników Cypriana i Sawickiego, reportażystek Falkowskiej i Seidel prawa i „Pitavalów” Szenica. Działy ekonomii, historii i krytyki literackiej, nauk matematyczno-przyrodniczych użytkowane są głównie przez uczących się.

Rozległy obszar czytelnictwa o charakterze utylnym obejmuje lektury nie związane z programem nauki i podnoszeniem kwalifikacji facho-

wych tak młodzieży jak czytelników starszych różnych zawodów i wykształcenia. Zmieniające się warunki życia, dom, zdrowie, seks, rodzina narzucają często współczesnemu człowiekowi konieczność odwołania się do odpowiedniej książki lub broszury. Tym się też tłumaczy powodzenie różnych pozycji odnoszących się do „małej techniki”, konstrukcji i naprawy łóderek, pralek, magnetofonów, odbiorników radiowych i telewizyjnych, prowadzenia i obsługi pojazdów mechanicznych, wyposażenia mieszkań, racjonalnego żywienia. Duże obroty wykazują różne broszury o chorobach, wydawnictwa informacyjne typu „Zdrowie w domu”, „Leki bez tajemnic”, „Życie bez starości”, „Lekarze radzą matkom”. Potrzeby w zakresie wychowania dzieci, trudności wychowawczych i rodzinnych, informacji o zagadnieniach życia seksualnego i współżycia z ludźmi zaspokajają najpowszechniej (oprócz wielu innych) takie publikacje jak: Han-Ilgiewicz — Po-

trzeby psychiczne dziecka, Filipek. Są takie dzieci, Estik — Dzieci, które znam, — Trudni rodzice, Jakiewiczowa — O czym chcą wiedzieć dziewczęta — Listy o trudnym dojrzewaniu Kozakiewicz, Rozmowy intymne, Parzyńska — Mąż i żona — Młodzi po ślubie, Jaka jesteś rodzino, Mysłakowski — O kulturze współżycia, Garczyńska — Sztuka życia, Gumowska — ABC dobrego wychowania, Kamycezek — Grzeszność na co dzień, Goldnikowa — Obycie umiła życie.

Charakterystyczne, iż wiele z tych książek po zapoznaniu się z egzemplarzem bibliotecznym czytelnicy nabywają na własność. To samo odnosi się do niektórych często użytkowanych pozycji wiążących się z różnymi hobby czytelników (fotografowanie, majsterkowanie, hodowla rybek, uprawa działek). W dziedzinie sportu częściej niż o poszczególnych dyscyplinach sportowych czyta się opracowania bardziej ogólne jak np. Tomaszewskiego — Spotkanie ze sportem — Milczące sta-

żony, Grudy — Droga do Tokio, Mielecha — Sportowe sprawy i sprawki. Przewodniki turystyczne (z wyjątkiem Przewodnika po Polsce) nie wykazują specjalnej ruchliwości, być może dlatego, iż miłośnicy rajdów i wędrówek również kompletują sobie własne biblioteczki. Z pozycji regionalnych duży zasięg czytelnicy uzyskali ostatnio oba zbiory reportaży Urbankiewicza i Ulica Piotrkowska — Kondka.

Wykorzystanie księgozbiorów podręcznych w bibliotekach w pewnym stopniu ogranicza udostępnianie ich na miejscu lub krótkoterminowo na zewnątrz pod regulaminowymi warunkami. Jeśli chodzi o encyklopedie, słowniki, informatory, roczniki statystyczne, przewodniki operowe, teatralne i inne to ilość ich wypożyczeń jest nierozważalnie związana z zakresem prowadzonej przez personel placówki tzw. służby informacyjnej. Im bibliotekarze są lepiej do niej przygotowani tym częściej uruchamiają poszczególne wydawnictwa en-

cyklopedyczne - informacyjne odsyłając tam po właściwą odpowiedź czytelników. Gorzej przedstawia się sprawa wydawnictw, które do „podręcznych” włączone są ze względu na szatę edytorską, specjalną wartość artystyczną, format, cenę. Miesiącami a niekiedy latami nie sięga ręką czytelnika po niektóre bogato ilustrowane monografie malarzy i zabytków architektury, opatrzone pięknymi reprodukcjami albumy „Arkad” i „Sztuki”, almanachy sceny polskiej z interesującymi zestawami fotografii. Mimo sprzyjających warunków lokalowych, młodej i spokojnej atmosfery bibliotecznej niewiele stosunkowo osób stara się wygospodarować czas na pozostanie w czytelni i dłuższy kontakt z „księgami pięknyymi”. Co zapobiegliwi bibliotekarze podjęli ostatnio różne formy zainteresowania nimi czytelników. Ze względu na trwające Dni Oświaty Książki i Prasy należy żyć im w tym powodzenia.

IGOR SIKIRYCKI

Moja ręka

Moja ręka — tron sokoła
 Moja ręka — most na wietrze
 Moja ręka — klucz przetrzeźni
 Moja ręka — gwiazdozbranie
 Moja ręka — studnia kształtów
 Moja ręka — gniazdo teczki
 Moja ręka — kotłozan dźwięków
 Moja ręka — formowanie
 Moja ręka — ziarno śmierci
 Moja ręka — trzon topora
 Moja ręka — garść popiołu
 Moja ręka — przemijanie
 Moja ręka — pancerz tarczy
 Moja ręka — dzwon na gody
 Moja ręka — skrzywo kołyski
 Moja ręka — ocalenie
 Moja ręka — szpon kotwicy
 Moja ręka — źródło zdarzeń
 Moja ręka — drzenie pióra
 Moja ręka — zwykła ręka.

17. 11. 70 — Piran

JAN HUSZCZA

Wspomnienie

Był taki Jan Huszcza
 Nawet niebrzydki młodzieniec
 W 1938 roku w Wilnie
 wydano mu tomik wierszy

Wybuchła wojna
 i nawet wśród trzydziestu znajomych
 słuch o tym Huszczy zaginął

W 1945 roku
 znalazł się w Łodzi
 Z kolei o tamtych trzydziestu znajomych
 słuch zaginął
 cztery bowiem są strony świata
 i wszędzie jest dar

Niezbyt mu się wiodło
 Od 1947 roku nie miał żadnego
 stałego zarobku
 Utrzymywał że czasy nie są do niego dopasowane

Swież to było jego najulubieńsze jezioro
 mimo iż ujrzał je dopiero w 1970 roku

Przeżył kilka pięknie runiejących Wielkanocy
 Bywał
 Pisywał
 Często chorował
 Czasem stawał okoniem
 wtedy dopadano go ościeniami

W różnych okresach mego życia
 odczuwałem dla niego sympatie
 wybaczałem mu niektóre narowy
 Dlatego nie wspominam go złośliwie
 raczej ze współczuciem
 Tym bardziej że udzielał mi czasem
 swego wyglądu
 i mogłem broić na jego konte
 Z roku na rok samotniał
 Na całe tygodnie wylaczał telefon

Pewnego razu wszedł do jednego z barów
 razem z krytykiem Arturem Sandauerem
 Co się z nim potem stało
 różni różnie mówili

Sandauer zeznał
 że Huszcza się zmetaforyzował
 Prokurator dochodzenie umorzył
 chociaż bardzo wątpliwe
 żeby zaginiony
 miał aż taką wyobraźnię

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Drabina z jawy

mając przed oczami
 KOLUMNE Brancusiego

Drabina jakubowa
 to
 wiertło ze szczerego piękna
 z marszem ogniu
 po stycznej oczu — zenit
 skomponował plastyk
 wykreślił muzyk
 przywidział matematyk
 trzej w jednej osobie
 z dyskiem płomiennym nad głową
 otwórz oczy jakubie
 wtknięte potrójna dłoń
 wiertło ze szczerego piękna
 rozcina torfy chmur
 złoza nieładu
 sfery pandory i węża —
 po —
 niebo pierwsze
 otwórz oczy jakubie
 nie gnuśnij nad źródłem czasu —
 dobrze ci znana drabina
 po zrebach piękna wstępują
 bez słupolazów z mitu
 ludzie białoskrzydłaci
 fenomeny oczu otwartych

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Swit

TOMKOWI

Już podnosi się z letniej plaży biały chłopiec w pasiastej piżamie. Powietrze zlewa ostatni raz i unosi dziewczynę, która szeszeje na nas jasne fale włosów. Wtedy właśnie następuje rozbrat żagla i latawca. — Dzień dobry — mówi chłopiec dziewczynie. — Bawmy się do zmierzchu, bo ja jestem letni dzień nad morzem, ciepły i pełen łagodności, jak dotyk twoich ust o świcie.



Rys. E. Ingot

MIECZYSLAW KUCNER

Ziemia niczyja

W nowym ujęciu sferę powszedności
 piszemy gestem, co wzmacnia człowieka
 poprzez działanie nieśmiertelnych skutków
 wplecione w każdy przypadkowy układ.

Spokojna mądrość ujemnych sprzężeń
 komentujemy poprzez niejawność przedmiotów,
 okolice abstrakcji zostawiając otwarte
 dla ziemi niczyjej, podbitej młotem,
 w której dojrzewa światłoczułe ciało,
 określone poprzez wykładniczą wzrostu —

serio późnioniej godziny nie licząc,
 nowe niewiadome tworząc wewnątrz czasu.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

Snu nienawidzę
 może tak jeszcze wroga mojego
 i śmierci
 może brzytwy
 gdyby przyszło naciąć

Snu nienawidzę już w południe
 gdy słońce wbiła w stopy gwoździe
 prostopadłe jak zęby
 w głowie uśmiechniętego

Snu nienawidzę wcześniej
 niż agrest w zimnych listkach się zaokrągli
 niż szyba przejrzy na białe oczy

Gdy niebo ma barwę żyłki na twej skroni
 ukochane życie

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

O śmierci pomyślę — tym bardziej cię Kocham,
 jeszcze moment a wieczność cię całować.

Chwyć, ocaliłeś tę chwilę — to ciało i uniesienie
 jak barwi nad oczami lotne cienie
 i być zaiste zaistnieniem,
 by widzieć
 to istoczenie się pożądania cierpieniem - - -

Bóg pierś twe na podobieństwo biegu planet utoczył,
 a ja dłoń wypalam pięciokrotnym płomieniem,
 ty winem ich mnie polisz, zataczasz
 i trwamy tak — Bóg, ty i ja — zespoleni
 w nieustannym uniesieniu
 że oczyszczeni, a już
 na nie i nie przenoszeni - - -

O, piękni, dojrzewający
 w oślepiającym świetle śmierci.

29/30. III. 1971

Miłosierdzie

Dalszy ciąg ze str. 5

chód, po co starej słońce? Po co starej światło? Po co w ogóle takiej starej, która ledwo-leadwo powłóczy nogami, dwadzieścia dwa słoneczne metry kwadratowe?

Przecież można wszystko polubownie, po ludzku, z wyrozumieniem, no nie? Czemu by nie po ludzku?

Nikt nie zamierzał wyrzucić starej. Nikt nie składał przeciwko niej podań, ani zażaleń, ani skarg, a nawet należało się. Ale kuchnia duża, technik budowlany ofiarowywał się gratis: Zrobimy pani, kochana pani Dominiko, ściankę działową w kuchni i będzie miała pani śliczny, mały, ciepły pokój. Przy ludziach, blis-

ko, ktoś zawsze w kuchni się krząta, bo pani, kochana pani Dominiko, taka sama w tym pokoju na końcu korytarza, jakby pani krzyknęła o pomoc, nie usłyszymy, a tak — wygodnie, ciepłutko, przyjemnie, blisko życiowych ludzi, chętnych do okazania pomocy. Sympatycznie. I w ogóle.

Kuchnia duża. Czemu by stara nie miała się przenieść do kuchni; a kuchnia duża, widna, ładna, no co, kochana pani Dominiko?

Kochana pani Dominiko, jeżeli by pani odstąpiła pokój tym urzędasom, to trudno, uprzędzamy panią lojalnie, że zgody pomiędzy nami nie będzie. I pamięta pani, że pani mnie ten fotel bordo obiecała?

Ale jeśli nie chciała po ludzku, z wyrozumieniem, pójść ludziom na rękę, wyrozumieć — trudno. Nikt zbyt długo prosić się nie będzie ze swoim dobrym sercem.

Taka stara, ledwo dychająca, próchno, dawno już powinna leżeć na cmentarzu. Lecz trzymała się tego życia, ciężko pojąc — dlaczego?

A mogła mieć — opiekę, pomoc, troskliwość.

Nie skorzystała z miłosiernej oferty. Cóż robić, poradzić — tacy dziwni potrafią być ludzie. U starej daleko posunięta skleroza, niczego nie pamiętała, co się do niej mówiło. Jak długo można się starą zajmować? Jeszcze trochę, i tak pójdzie do ziemi. Zakaszle się któreś nocy na śmierć. Nie zdąży doszurać cherlawymi nogami na czas do kuchni, ani otworzyć drzwi, ani zaparzyć ziółek. Zacharce się, zadławi, taki koniec.

Po dobroci — nie; prośbami — nie. Lecz i krzywdzić się jej — nie krzywdziło.

Stara nie mogła udźwignąć wiadra z węglem. Jej wina, że mróz wypisuje u niej na oknach od wewnątrz kwiatki. Zapomniała wykupić węgiel. Nie będzie miała czym palić. Trudno. Człowiek ma

bardzo dużo własnych kłopotów.

Stara włączyła sobie, aby się ogrzać, maszynkę elektryczną. Co pani sobie wyobraża, jest pani stara i niedołężna, chce pani dom spalić? Zrobimy na panią doniesienie na milicję, to sprzeczne z przepisami, ogrzewać mieszkanie elektryczną maszynką.

Starej wykrecili korek w leczniku, wylali do zlewu jedzenie, bo cuchnęło, starej nie wolno pod nieobecność lokatorów korzystać z kuchni i gazu, pani nas wszystkich gazem kiedyś zatruje, pani ma sklerozę, pani niczego nie pamięta, my napiszemy na panią do opieki społecznej, niech panią zabiorą do przytułku, aż nos trzeba zatykać, jak pani przechodzi.

Sama sobie winna: odrzuciła ludzkie miłosierdzie.

Niech zdycha. W końcu już jej nie pozostało do zrobienia — tylko umrzeć. Najwyższy czas, tyle lat dźwiga na pokurczonych plecach. Patrzeć na nią nieprzyjemnie, aż odrzuca — głowa wiecznie się trzęsie, podryguje, ślina z ust ścieka. Niczego przy sobie już zrobić nie potrafi. U pani musza być pluskwy, moja pani, my do pani sprowadzimy komisję sanitarną, do czego po-

dobne, aby robactwo rozlało się po całym domu.

No więc jak będzie, moja pani? Ostatni raz, chociaż się cierpliwie wyczepała — przejdzie pani do kuchni?

Nie to nie. Głowa starej się trzęsie, astma dusi, ścieka ślina po bezzębnej brodzie, ledwo porusza nogami, długo jeszcze przydzie czekać? Długo tak może? Czy to nie lepiej dla takiej — umrzeć? Czego się taka boi — już przecież wszystko, co się jej należało, przeżyła. Osiemdziesiąt lat, ho, ho, ładny wiek, daj Boże każdemu doczekać takiego wieku.

„Szanowna Pani! Z głębokim żalem czym prędzej zawiadamiamy Panią, że wczoraj w nocy zmarła Pani matka, Dominika Bednarek, nasza kochana sąsiadka. Śmierć miała cichą i spokojną, nie męczyla się wcale. Prosimy o natychmiastowy przyjazd, w sprawach pogrzebu poczyniliśmy już odpowiednie kroki...”

Dwadzieścia dwa metry kwadratowe z dębowym, solidnym, przedwojennym parkietem, szerekiimi oknami na południowy-zachód stara nareszcie przestała blokować.

EWA OSTROWSKA

MAREK WAWRZKIEWICZ

Pytania

Czy ocalejesz w białych piórach grudnia
Jak krajobraz taskawy
Jak gałąź
Ta która
Ptaki usypiają Przed pożarem chronią
O wieczorze czerwonym W wiatru zwiastowanie

Czy utoniesz na zawsze w najtrwalszej pamięci
Pamięci rak i palców
W pulsowaniu mrocznym
Które za krwi udziałem rozsiewa cię we mnie
Lub we śnie splatanym
W ciemności przez którą
Tylko pragnienie nagle czasem się przedziera

Czy zostaniesz jak iskra w wielkiej szarej wodzie
Do której po omacku płyną wodorosty
Do której technienie pełnie
Jeśli go wystarcza

Gałązko pod ptakami
Ziarno wśród pamięci
Iskro w wodzie płonącą

listopad, 1970

JAN SZTAUDYNGER

W szpitalu w Krakowie

WIOSNA 1970

(OSTATNI WIERSZ POETY)

Czy was nie ujrzę nigdy, nigdy więcej
Kwiaty zdadne na bukiety i zdadne do wieńcy,
Kwiaty mego ogródka rosące pół dziko,
Jesteście mej tęsknoty upartą muzyką!
Bądźcie takie taskawe przysnąć się czasami,
Przysięgam, że nie będę podlewał was łzami...

JERZY WILMAŃSKI

Losowanie

Wirujący bęben porządkuje cyfry.
Moje cyfry szczęśliwe, zle i obojętne.
Które są które — nie wiem.
bo coż wiem naprawdę?

Prawdziwe są na pewno cyfry totolotki,
właśnie spiker obwieszcza
— lekka poetyka w niestrawnych agitkach
— chód wieloetapowy
— slalom gigant przez sierpień, wrzesień, październiki,

Boże Kolektury
Trójco Numeracji
chroni mnie od cyfr trafionych na Twojej loterii

Niechaj dla mnie zostanie kóteczko w kuponie
ów numer dodatkowy
— moje noce bezsenne, niepokój i drwina,
— moje kleski i moje finisze na mecie

Boże Kolektury
numer dodatkowy przeznacz tylko dla mnie.
W wirującym bębnie niechaj nie szeleści.

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

Mariana Piechala tańczący Parnas

Cóż mają wspólnego Sokrates, indyk
i żółdek? Na pozór to tylko, że indyk
mógł się znaleźć w żółdaku Sokratesa.
Ale to jest płytko pojęta ontologia, cho-
dzi przeciwieństwo o powiązania głębsze,
w samym jądrze rzeczywistości istniejące,
boć „można głęboko myśleć na płytce
tematy, a płytko na głębokie — co na
jedno wychodzi czyli nawet nie na bu-
dę dla psa”. A w świecie wszystko ma
swe tajne powiązania, które tylko w
natchnieniu objawić się mogą, to i kie-
dy człowiek zamyślił się na wiosnę, wy-
chodząc od słowika przez „hipopotama,
ministra, analfabeta, indyka i żółdek”
można dojść do Sokratesa i odwrotnie,
ale na wiosnę, kiedy to się tonie „w
rozmaitych myślach swoich i nie swo-
ich”. Wtedy pijany Parnas można wy-
słać (jeśli się jest poetą), gdzie Jan
Kochanowski i ksiądz Baka wino z jed-
nego pucharu ciągną, i jeszcze dla Dze-
usa na dnie ostanie. Oni tam o polityce,
poezji, prozie, ale też o pornografii, księ-

życiu, a także „o jajach, kurach, dźwię-
nach i lirycznych kapłonach” gaworzą,
wszak poeta dzieckiem podszty jest i
jako dziecko wygadać się musi. A każdy
po przyjacielsku mądrością swą się po-
dzieli, to i Albert Magnus sławny bis-
kup i filozof średniowieczny radę da „jak
wygrać zakład o zjedzenie 60 jaj na
twardo”, aż dr Tulp ze skalpelem nad
Olimpią pochylony zadziwić się musi, boć
są sprawy bardziej zagadkowe niż ta-
jemnica ciała ludzkiego, której i w ana-
tomii trudno dociec. A wszyscy o ży-
ciu dyskurs wiodą, o którym więcej jesz-
cze niż o „zieleni” powiedzieć można.
Czy Młodzieżowe Domy Kultury Sek-
sualnej założycy, czy lotne ekipy odpo-
wiednio kwalifikowanych instruktorów w
świat wysłać? I bez pruderii gawędzą,
wszak bogowie pieprz lubią, to i Wacław
Potocki zachęcony wierszem zechce się
popisać:

„Hrabia (za szpetne słowo upraszam pardonu)
Piardnoi (tućwisy uszy) na środku salonu,
Stojąca mimo panna z konfuzyley drygta,
Pierwszy raz słysząc w życiu takowe enigma.
Spyta tedy słacheica, azezi z moderunkiem,
Co by znaczyło owo, słyszane trefunkiem.
Ten yey w mig: „Rzeczy więszych nad rozum
na świecie
Siła jest, mościa panno, o których nie wiecie.”

A takiej strofy to i Naborowski poza-
zdroszczyć może, ale dla równowagi Maria

JAN KOPROWSKI

Rozmyślania na brzegu morza

Być falą, uderzającą o brzeg
dnem i nocą
bez chwili wytchnienia.
Zlizywać piasek
wyrzucać z dna bursztyny
obmywać dzieciom stopy
i szumieć do snu kołysanki.

Być mewą
która siada na wodzie
na śniegu
na kamieniu.
Zrywać się i opadać
z krzykiem
nieś na skrzydłach
promienie słońca
i wiatr idący od północy.

Być brzegiem, podmywanym
upartym
kruchym.
Godzić się na żwir
trawy i krzaki z długimi
korzeniami.
Cierpieć od upału
i zimna.
Czekać na nowy sztorm
z lękiem i radością.

Być niebem
siostra morza
przełądać się w nim
bez przerwy.
Barwić go kolorami tęczy
płynąć na jego grzbiecie
do tych wysp
których nie ma.

Giordano Bruno

bo wtedy jest, poznanie gdy szpiku ognia
aż się skała obiera
i rozpada w popiół
lochami inkwizycji iść
przez wieczne miasto
przyświecając sobie podpalonym stosem

to jest wciąż tudo
kołowrót ochrypiły
skurczami słońca mierzyć puls gasnących światów
a ptaki grób wykopią
głęboki na oddech
na jedno ptasie technienie
z powietrza i sadzy

to jest poznania stopień czwarty i ostatni
ognia dotyk nieczuły wyuczona ręką
a to przecież nie boli

bo gdy ktoś z płomienia
to głównią rozżarzoną skronie sobie chłodzi

ROMAN ŁOBODA

Równanie

Tak więc i piaskiem by rozliczyć niebo
w dusz zaczajeniu odmiany niebytu
a czasu niezbędność ostyganiem ziemi
przymierzyć do upływu snów zapomnianych

Tak więc jeszcze przed zachodem słońca
przed zejściem w cień własny i w cudze milczenie
nim nieptód i nieból nieruch i nietrawnie
przymierzyć do upływu słów wypowiedzianych

Tak więc z czymkolwiek dalej po ruchu orbicie
licząc świąty i zmierzchy przyplwy odpływy
bo reszka niechaj cyfra a orzeł niech lotem
przymierzyć jedno życie do całego życia

Łódź, 22. III, 1971

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Fraszki

SPOKOJNA GŁOWA!

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi,
Gdyż wie, że cenzor — co trzeba — wykroi.

IDEAŁ

Wszystko u niego z umiarem:
Wiedza, rozsądek i talent.

MIKRO-KACYK Z PCIMIA

Na starej miniaturze rozpoznaję „władce”:
Przywieźli go tu w teczce — wywieźli na tacze.

„AGITATOR”

Dźwigał transparent z drętwą brednią,
Nie przeczytawszy jej uprzednio.



Rys. L. Woźnicki

Pawlikowska-Jasnorzewska ze smętem o
wojnie powie:

„Gorących dni galopada,
Rzęsista feeria bomb.
Trup lotnika
Jak pszczoła
Spada
W ognisty klomb.
A ja, fantôme sur les pointes,
Boję dookoła,
Wyrwana przez wroga z krajobrazu
Jak z dziesiąt
Zab.”

I zaraz na wrywki: Rej i Kochanow-
ski, Morsztyn i Trembecki, Mickiewicz
i Krasiński, Norwid i Iwaszkiewicz, i tyl-
ko wina z kielichów ubywa. To i Ma-
rian Piechal zaraz fraszek syplnie, choć
takim go nie znamy (raczej od Boya by
się tego spodziewać, od Gałczyńskiego
może, albo od Tuwima), ale i on z ba-
chiczną tradycją poezji wyszedł się po-
kumać, bo i raźniej w nieśmiertelność
wesołej kompanii, kiedy epoka żyłas-
tych metafor nastąpiła, przecie Janko
Prowski zaraz mu przykłaśnie i Rymo-
sław M. Jarkiewicz. A los dla poetów
w kraju nadwiślańskim ciężki i już prze-
cie poezję antypoezją ocalić trudno, a
poezi jurni i chutliwi, bo ostatnimi cza-
sy straszne ich nastąpiło rozmnożenie,
więc i apel do rozsądku chyba nie po-
może:

„Co tu robisz, Rodacy
słuchajcie radą szczerą:
w ojczyźnie coraz więcej
wierszy, niż papieru. (...)”
Tych wierszy nad papierem
nadmiar wciąż zwycięski
urasta do problemu
narodowej kleski.
Rada? Może uchwalić
przez sejm dekret twardy
w sprawie pisania wierszy
stylem awangardy?”

Raczej miał kiedyś pan Gotold Wimbro-
wicz, ale nikt go nie chciał słuchać. A
dzisiaj kłopot. To za kielichy, by smutki
doli artystycznej w trunku zatopić, bo
ma ona blaski i nęcze swoje, a trudno
czasem z życiem ją pogodzić:
„— Co panu pomaga, a co przeszkadza
w pracy?

— Pomaga w pracy to, co przeszkadza
w życiu i odwrotnie.”

Bo ciężki czas w wieku dwudziestym
nastał, już i kazanie Piotra Skargi nad
telewizorem nie pomoże, przydały się
też zastęp burliaków, aby Syrenkę zepsu-
ta pociągnąć. Ale na wiosnę od trosk
najłatwiej się oderwać, wystarczy w roz-
myślaniach płytkich i głębokich, w myś-
lach swoich i nie swoich się zatopić, moż-
na wtedy poetycko poswawolić.

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Mariana
Piechala „Sokrates, indyk i żółdek” wszystkie
aluzje także do niej się odnoszą.

Dlaczego jest popularny?

TEN JUBILEUSZ TRWA JUŻ OD STYCZNIA. WÓWCZAS TO MINĘŁO 25 LAT OD UKAZANIA SIĘ PIERWSZEGO NUMERU POWOJENNEGO „EXPRESSU ILLUSTRWANEGO”. PRZED TYGODNIEM PRACOWNICY GAZETY ZOSTALI UDEKOROWANI Z TEJ OKAZJI ODZNACZENIAMI PAŃSTWOWYMI. W DALSZYM CIĄGU ODBYWAJĄ SIĘ IMPREZY, KTÓRE REDAKCJA ZORGANIZOWAŁA Z OKAZJI SWEGO ŚWIĘTA.

25-letni żywot łódzkiej popołudniówki nie przebiegał bez komplikacji. „Express” zaczął wychodzić w styczniu 1946 roku, a w 1953 r. został połączony z „Dziennikiem Łódzkim” i w ciągu trzech lat wychodziła w Łodzi gazeta zwana „Łódzki Express Ilustrowany”. W 1956 roku nastąpił słuszny i pożyteczny rozwód. Jak słuszny — świadczy liczba. Mimo rząd ludzi ostrożnych, by wyjść na początek z nakładem 25 tysięcy egzemplarzy, kierownictwo zdecydowało się wydrukować nakład 50 tysięcy. A po tygodniu „Express” drukował już 120 tysięcy egzemplarzy. Ta popularność pisma trwa nadal.

— Jakie są jej przyczyny? — z tym pytaniem zwracamy się do Wiktora Małskiego, redaktora naczelnego „Expressu”.

— Tak naprawdę, to nikt nie wie, ale sądzę, że składa się na to kilka czynników. Przede wszystkim chyba sprawia to szybka,

aktualna informacja. Czytelnik, otrzymując gazetę po południu, szuka w niej wiadomości z dnia dzisiejszego, których nie przyniosła mu jeszcze gazeta poranna. Myślę poza tym, że czytelnik szuka w piśmie krótkiej, zwięzłej informacji, a taką my właśnie, między innymi z powodu szczupłej objętości pisma, oferujemy. I jeszcze jedna sprawa: kiedy kto woli kupować. Na przykład robotnice, śpieszące na ranną zmianę do fabryk, gazetę kupują po pracy. I wówczas właśnie, na styku zmian, pojawia się w kioskach „Express”.

— Chyba nieprzypadkiem wymienione tu zostały robotnice? Jak kształtuje się przekrój społeczny waszych czytelników?

— My patrzymy na ten problem nieco inaczej. Istotne jest pytanie, czy nasz czytelnik czyta naszą gazetę jako drugą, po lekturze porannej, czy też „Express” jest jedyną gazetą, która czyta. Zapewne rozwój czytelnictwa doprowadzi do tego, że powszechna będzie grupa pierwsza. Na razie jednak sporo osób traktuje „Express” jako jedyną gazetę. Badania przeprowadzone dla poznania naszego czytelnika poszły w kierunku znalezienia tych właśnie. Są to istotnie przede wszystkim kobiety-robotnice i młodzież. Te badania sprawdzają się zresztą w naszej praktyce, poprzez listy do redakcji. Te dwie grupy społeczne są przede wszystkim naszymi respondentami.

— Zapewne wobec tych grup poczucie się do największych obowiązków. W jakim stopniu wpływają one na charakter waszych publikacji?

— Publikujemy nasze materiały, uwzględniając ich żądania, ale musimy pamiętać również o sprawach, którymi my chcemy ich zainteresować. A poza tym — w sobotę wychodzi kolumna poświęcona wyłącznie sprawom kobiet, zaś w środy — kolumna poświęcona nauce i technice, przeznaczona głównie dla młodzieży.

— Z pewnością ani nie czujecie się, ani nie jesteście spadkobiercami, czy kontynuatorami tradycji przewojennego „Expressu”, który gonili za tanią sensacją. A przecież wasza popularność wcale nie jest mniejsza. Czy sądzi Pan, że popularność tamtego tytułu torowała wam na początku drogę do czytelnika?

— Można by tak ewentualnie przypuszczać, gdyby nie doświadczenia innych miast. Kiedy w Bydgoszczy organizowaliśmy popołudniówkę, z miejsca zdobyła ona popularność i wysoki nakład. A przecież w Bydgoszczy nigdy przedtem pisma popołudniowego nie było.

— Do którego z działów gazety przykładacie największą wagę?

— Do miejskiego, bo to właśnie szybka, aktualna informacja. A w ramach miejskiego — do działu łączności z czytelnikami. Dział ten to nie tylko listy, interesanci, interwencje. To także inne formy kontaktów ze społeczeństwem, jak imprezy na świeżym powietrzu, wycieczki z czytelnikami, zabawy, festyny, różnego rodzaju akcje społeczne, no, a ostatnio „Żywy Express” — impreza zorganizowana przez nas z okazji jubileuszu. Wydaliśmy 28 numerów tej gazety w fabrykach i innych zakładach pracy i będziemy chyba wydawać ją dalej.

— Życzymy więc dalszych sukcesów i coraz większej popularności.

Rozmawiała:
T. W.

Kocówa w pokoju 168

Dalszy ciąg ze str. 4

— Więc czemu krzyczała: „Ratunku”?

— Może to wcale nie ona krzyczała? Zgoda, wiele mieszkank slyszalo ten krzyk, ale równie dobrze mógł on pochodzic z ust Elżbiety O., która zresztą mówiła o tym na procesie.

Najwięcej wątpliwości budziła sprawa Marii C., która przecież nawet w relacjach poszkodowanej występowała tylko jako bierny świadek: zamykała i otwierała drzwi, trochę się śmiała, trochę dogadywała; nie biła, nie kopała, a mimo to mają usunąć ją z uczelni...

Toteż, tym razem przed Sądem Uczelnianym, odbył się pierwszego kwietnia proces rewizyjny. Trwał od godziny szóstej wieczorem do drugiej w nocy. W stosunku do Krystyny G. i Elżbiety O. wyrok został utrzymany. Można tu jako ciekawostkę podać fakt, że Elżbieta O. w ostatnim słowie nie prosiła o złagodzenie wyroku, lecz o ukaranie poszkodowanej; godziła się zatem odejść z uczelni pod warunkiem, że odejdzie również Barbara S. Co do Marii C. — przywrócono jej prawo do studiów, z tym jednakże zastrzeżeniem, że nie będzie korzystała ze studenckich świadczeń. Obecnie nie ma jej na uczelni, czego powodem jest najprawdopodobniej zawałona sesja zimowa.

To wszystko.

A wnioski? Nasuwają się same.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

gólne o poezji, o wierzycielach, o szczęśliwych i pechowych debiutach itp. W części drugiej pomieszczono „Dzienniki poufne”. Ale nie są to dzienniki w przyjętym tego słowa znaczeniu. Są to raczej notatki, zarysy pomysłowe, aforyzmy, wyznania, ale wszystko to pisane piórem ciałym, oryginalnym, godnym naszej uwagi i zainteresowania. Oto próbka oryginalności tych notatek: „Kobieta chce jeść, kiedy jest głodna; chce pić, kiedy ma pragnienie. Chce, żeby ją pieprzyć, kiedy ma ochotę”. Albo: „Trzeba pracować, jeżeli nie z zamiłowaniem, to przynajmniej z rozpaczą, albowiem, jeśli wszystko dobrze roztrząsnąć, praca mniej nudzi niż zabawa”.

Specjalne pochwały należą się Andrzejowi Kijowskiemu, który książkę Baudelaire’a pięknie przełożył, opatrzył kompetentnym wstępem i przypisaniami, a „Czytelnik” wydał ją w sztywnej okładce z ładną obwolutą i portre-

tem autora. Książka dla tych, którzy nie umieją się gorszyć. Bo kto się gorszy, nie powinien tej książki brać do ręki. Jk.

*) Charles Baudelaire: „Sztuka romantyczna. Dzienniki poufne”. Czytelnik, Warszawa 1971, str. 309, cena: zł 33.—

ZAJMUJĄCA OPOWIEŚĆ

Płodny pisarz, autor słownika współczesnych pisarzy polskich, słowem: Lesław M. Bartelski ogłosił w Wydawnictwie Łódzkim opowieść dokumentalną pt. „Mickiewicz na Wschodzie”. Jest to już drugie wydanie tej ciekawej książki, o której sam autor pisze w postawie m. innymi: „Opowieść niniejsza dotyczy jednego z najmniej znanych i opisywanych okresów życia Mickiewicza, lat 1854—1855”, a więc — dodajmy od siebie — chodzi w niej o ostatni rok życia twórcy „Pana Tadeusza”. Nie wszystko jeszcze o tym okresie życia naszego wieszczka wie-

my i opowieść Bartelskiego, oparta na źródłowych badaniach i dokumentach, przynosi wiele ciekawych szczegółów i niejedno wyjaśnienia. Napisana zajmująco, ładną potocznością polszczyzną, zainteresuje niewątpliwie każdego oświeconego czytelnika. Tym więcej, że prowadzi nas autor egzotycznymi śladami Mickiewicza, kreśląc przy sposobności barwną sylwetkę Sadyka Paszy czyli Michała Czajkowskiego. Za osobliwie piękny uznaliśmy końcowy rozdział książki „Ostatnia droga”, zawierający okoliczności śmierci wielkiego poety, który „umarł w drodze do Polski, ale Polska przyjęła go na zawzięcie”.

Powabu przydają książce ilustracje w tekście, odnoszące się do opisywanego okresu. Jk.

Lesław M. Bartelski: „Mickiewicz na Wschodzie”, opowieść dokumentalna. Wydawnictwo Łódzkie, 1971, cena zł 17.—



Peter Horwath — Perspektywa.



BAUDELAIRE INTYMNY

Tę książkę *) winni przeczytać wszyscy pod warunkiem, że nie wszystko, co w niej napisane, weźmą na serio. „Sztuka romantyczna. Dzienniki poufne” zawierają wybór recenzji i artykułów, pisanych przez Baudelaire’a przeważnie dla celów zarobkowych. Są to jednak rzeczy ciekawe, pisane z dużym zaangażowaniem, niekiedy namiętnie, niekiedy ze złością, zawsze z pasją polemisty. W części pierwszej, oprócz portretów pisarzy, współczesnych Baudelaire’owi, znajdują się również tzw. uwagi o-

stockim, warszawskim i krakowskim. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko ilość poniesionych ofiar, wówczas rozumowanie to można by przyjąć. W tym wypadku chodzi jednak głównie o rozmiary zagrożenia przez reakcyjne podziemie i o wysilek władz bezpieczeństwa oraz wojska, jaki trzeba było włożyć w jego rozgromienie.

Nie należy zapominać, że na ziemi łódzkiej istniała (poza UPA) największa nielegalna organizacja zbrojna zwana Konspiracyjne Wojsko Polskie „Lasy”, skupiająca 2.200—2.400 bojówkarzy. Ale przecież KWP nie była jedyną na naszym terenie istniejącą organizacją. Działy tu również takie ugrupowania jak: 150-osobowa grupa, składająca się z członków b. Łódzkiego Inspektora AK, groźnego bandy „Wichra” — „Lalki”, „Groźnego” — „Orla”, Łódzki Okręg Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” oraz 31 grup o charakterze terrorystyczno-politycznym, w tym większość założonych przez

młodzież. O ile w innych województwach podziemie zostało rozgromione już w 1948 roku, to tutaj władze bezpieczeństwa walczyły z niedobitkami KWP aż do 1954 roku.

Z publikacji wynika też, iż kartoteka centralna zawiera z terenu Ziemi Łódzkiej 563 ankiety osób, które zginęły, z czego komisja zwerifikowała 339.

Osobiście mam wątpliwości wobec tych wyliczeń. Przeprowadzając kilka lat temu skrupulatne badania nad ustaleniem, ile osób poniosło śmierć na terenie Łodzi i województwa łódzkiego, doliczyłem się 580 osób, które zginęły w zmaganiach z reakcyjnym podziemiem. Natomiast spośród członków organizacji podziemnych zginęło nieco mniej bo jedynie 450 osób. Tak więc plon tej walki na naszym terenie wyniósł ponad 1.100 ofiar.

Przeglądając dokładnie spisy poległych, nie zauważyłem tam wszystkich nazwisk żołnierzy i oficerów, którzy zginęli w walce z ban-

dą „Klingi” pod wsią Graby w powiecie radomszczańskim, ani zamordowanych tam przez tę samą bojówkę — żołnierzy radzieckich. Ta uwaga dotyczy także morderstwa, jakie popełnił „Rudy” na żołnierzach radzieckich i polskich na stacji kolejowej Czastary w powiecie wieluńskim.

Jak wiadomo „Klinga” wycofując się 20 kwietnia 1946 roku z napadu na Radomsko zatrzymał na skraju tego miasta samochód, w którym znajdowało się 6 żołnierzy i 2 oficerów radzieckich. Dowódcą samochodu st. lejtn. K. Kudraszow został zastrzelony na miejscu, a pozostali żołnierzy zamordowano obok gajówki Graby. Z tych 8 poległych tylko 7 nazwisk znalazło się na łamach publikacji.

Tego samego dnia banda „Klingi” stoczyła z oddziałem KBW i WP walkę, w której zginęło 11 żołnierzy i 5 oficerów. I znowu trudno się doszukać w spisie 2 ofiar.

Z 17 na 18 lutego 1946 roku ban-

da „Rudego” zamordowała w Czastarach 8 przedstawicieli Armii Czerwonej i jednego oficera polskiego. Z żołnierzy radzieckich w spisie figuruje tylko sześć nazwisk. A co z pozostałymi?

Obok powyższych przeoczeń warto też zwrócić uwagę, że autorzy w wielu miejscach mylnie informują kto był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć poszczególnych ludzi.

I tak przykładowo podam, że B. Ścioborek (s. 405) — sekretarz Polskiego Stronnictwa Ludowego i poseł do KRN nie został zamordowany przez WIN, lecz zginął z ręki bandy „Orszy”, że A. Morawiaka (s. 289) z Wieluńskiego zamordowała banda „Rudego”, a nie KWP, że sz. A. Adamiak (s. 465) i kpr. K. Chruściak (s. 476) zginęli nie z rąk bandy „Wichra” (bojówka ta nigdy nie działała w Radomszczańskim) ale poległ w walce z bandą „Klingi” pod wsią Graby, że F. Józwiak (s. 191) z Bujniczek został zamordo-

wany przez jedną z bojówek KWP, że kpt. A. Grandowski (s. 489) nie został zamordowany przez bojówkę „Bolesława” — NSZ (bojówka o takiej nazwie w ogóle nie istniała) lecz poległ 20.IV.1946 r. pod wspomnianą już wsią Graby w walce z „Klingą”, że pod tą samą wsią i z rąk tej samej bojówki poległ również: por. F. Huszcza (s. 492 — co przypisano bojówce NSZ) sz. H. Oweczarek (s. 527 — przypisano to bojówce „Groźnego”), kapr. M. Skowroński (s. 541 — przypisano to nieznanej bojówce). Niedokładność takich jest, niestety, dużo więcej i w pewnym stopniu osłabiają one wartość tego dokumentu. W przyszłości przy okazji wznowienia edycji wszystkie te niedociągnięcia należałoby usunąć.

W sumie jednak wydana książka jest bez wątpienia hołdem dla tych wszystkich, którzy oddali życie za nowy ustrój, za Polskę Ludową.

„Polegli w walce o Polskę Ludową”. Książka i Wiedza, Warszawa 1970.

Socziku Kagekidan

S podziewaliśmy się widowiska egzotycznego, typowo japońskiego, wnoszącego do naszej skromnej wiedzy o kulturze i obyczajach tego kraju jakieś nowe elementy, nowe informacje. Tymczasem zaszerwowano nam egzotykę, owszem, ale starannie pomieszana z wszystkimi możliwymi elementami kultury muzycznej i tanecznej Europy, Ameryki i Afryki. Być może dlatego, że Socziku Kagekidan, największa rewia w Japonii, jest nastawiona na wyjazdy zagraniczne, na występy w różnych częściach świata. A może dlatego, że Japończycy ze swoją najwyższą techniką i cywilizacją nie chcą być egzotyczni. Chcą być europejscy, czy też amerykańscy. To przecież japońskie dziewczęta od lat operacyjnie prostują sobie oczy.

W każdym razie otrzymaliśmy program w znacznej części sięgający do baśni, legend i folkloru japońskiego, ale oparty na zeuropelizowanej harmonice i instrumentacji oraz taneczny repertuar europejski, wykonany japońską szkołą baletową. Japonki (Socziko jest rewia, w której występują wyłącznie dziewczęta) tańczą tańce hiszpańskie i południowoamerykańskie, can-cana irytualny



tańce afrykański. Tańczą nawet niby-kozaka, przygotowanego zapewne na występy w Związku Radzieckim. Nie wszystko wypada jednakowo efektownie. Po

pierwsze nie wszystko jednakowo odpowiada ich temperamentowi i tradycjom. Na przykład can-can w ich wykonaniu był raczej żalony w porównaniu z tym, co widywaliśmy niejednokrotnie, natomiast w rytmach afrykańskich i południowoamerykańskich są znakomite. Specyfika kultury i obyczajów Wschodu z jej wycelebrowaną wytwornością, ograniczonymi strojem powolnymi ruchami, znajduje swoje artystyczne wyznaczniki w sztuce. Kim-

układy taneczne były raczej ubogie i monotonne.

Socziku Kagekidan jest rewia, która działa już czterdziesty trzeci rok, tańczy w niej i śpiewa 150 dziewcząt, znakomicie wyszkolonych technicznie, wszechstronnie uzdolnionych, tańczących i śpiewających. Są one przy tym nadzwyczaj szybkie. Kiedy któryś z warszawskich recenzentów napisał, że nie potrafia stanąć równo w szeregu i równo podnieść nogi, tak się tym przejęły, że w Łodzi umiały stworzyć bardzo równy szereg, a nogi podnosiły idealnie równo. A swoją drogą, nie zapominając o przywilejach i obowiązkach krytyka, powinniśmy jednak pamiętać, że jest to zespół o ustalonej renomie artystycznej, a ponadto, że są to nasi goście, wobec których przynajmniej takt winien obowiązywać.

Ze 150-osobowego zespołu, do Polski przyjechało 40 dziewcząt, a przywoziły ze sobą siedem ton kostiumów, rekwizytów i dekoracji. Spektakl ma sprawne, szybkie tempo (każda z artystek przebiera się w ciągu wieczoru 35 razy). Kostiumy japońskie są prześlizgane, europejskie — bardzo kolorowe i na ogół kiczowate, ale kto na rewii patrzy na dekoracje.

Nie mamy w naszym kraju tradycji teatru rewiowego w stylu wielkiej rewii francuskiej czy amerykańskiej. Specjaliści od tego gatunku przekonywali mnie niejednokrotnie, że w Polsce rewia się nie przyjmie, bo nasza publiczność tego nie lubi, z wyjątkiem rewii na łódzkiej, która cieszy się nieśmiertelnym powodzeniem. Może stąd tak krytycznie patrzyliśmy na Socziku Kagekidan, porównując ją z rewia na łódzkiej?

POLONICA

KONCERT FRANCUSKIEJ PIANISTKI

Utalentowana, młoda pianistka paryska, Marie Antoinette Pictet, już przed kilku laty odwiedziła nasz kraj, dając koncerty w Łodzi, w warszawskim radiu, w Bydgoszczy, Szczecinie i Rzeszowie. Publiczność tych miast z uznaniem wspomina te koncerty. Obecnie p. Pictet ponownie zawiązała do naszego kraju, którego jest gorącą miłośniczką. Tym razem odbył się jej koncert w warszawskim Towarzystwie Muzycznym im. Stanisława Moniuszki, obchodzącym właśnie stulecie istnienia. Francuska pianistka zagrała bardzo pięknie utwory Mozarta, Schuberta, Chopina (dwa nokturny opus 27) i Ravela. Publiczność zgłodziła p. Pictet serdeczną owację.

Odbędzie się też dwa wielkie koncerty p. Pictet na Górnym Śląsku. Warto dodać, że prądzie młodej pianistki, słynny przyrodnik genewski, prof. A. Pictet, odbywał wyprawy w Alpy — razem z polskim poetą, twórcą „Marii”, Antonim Małczewskim.

W. N.

TEOBIEKTYW

DURRENMATTA PRZY TYM NIE BYŁO

Nazwisko Jerzego Grzyby kojarzy się nie tylko z dowcipnymi widowiskami rozrywkowymi realizowanymi do spółki z Fedorowiczem. Należy on z pewnością do tej niezbyt licznej grupy reżyserów telewizyjnych, którzy znakomicie opanowali warsztat i świetnie czują specyfikę małego ekranu. Do czołowych jego osiągnięć zaliczyłbym „Idy marcowe” Thorntona Wildera przygotowane dla Teatru Telewizji.

Najnowszy spektakl teatralny wyreżyserowany przez Grzybę, „Wizyta starszej pani” Friedricha Durrenmatta, w pewnej mierze rozczarował. Zaciążył na nim brak generalnej koncepcji i ciekawszych rozwiązań szczegółowych. Pozostali na pociechę dobrzy aktorzy (Henryk Borowski i Barbara Krafiówna) i czytelną, poprawną realizacją telewizyjną.

Ktoś powie, że to dużo. Oczywiście! Małoż to razy mamy do czynienia w telewizji ze złym wykonawstwem i niekłamnym przekazem treści? Rozczarowanie moje ma więc raczej źródło w tym, że zbyt wiele sobie i tym razem po Grzybie obiecywałem.

„Wizyta starszej pani”, to sztuka napisana przez Durrenmatta stosunkowo wcześnie, bo w 1956 roku. Po opublikowaniu i prapremierze szwajcarskiej zyskała sobie szybko rozgłos światowy, trafiając wkrótce i na polskie sceny. Ma chyba wszystkie zalety i wady tego, co nazywamy teatrem Durrenmatta.

Durrenmatt sformułował bowiem własną teorię teatru, który ma jego zdaniem do spełnienia ważną rolę umoralniającą i oczyszczającą. Pod tym względem zbliża się Durrenmatt w poglądach do swego mistrza Bertolta Brechta. Podobnie jak Brecht zmusić chce on widza do myślenia, wytrącić z wygodnego stanu roztopienia własnej osobowością w urojonym świecie scenicznym. Nie o antyczną kalbarnis chodzi Durrenmattowi, ale o tak silne porażenie widza okrutnym obrazem świata, by obudził się w nim sprzeciw i postawa walki ze złem.

Moralizatorski i nieco doktrynerski charakter teatru Durrenmatta nie ma jednak jednoznaczności ideowej, jaką znajdujemy u Brechta. Tworząc swój okrutny świat na scenie, pisarz widać się w jego złożoność, dochodzi do prawd ambiwalentnych, błyskających złudnym światłem na krętych drogach losu ludzkiego.

Tak jest i ze starszą panią. Wielki ładunek moralizatorski, mający odsonić nieludzki mechanizm panowania kapitału, wmontowany w sytuację dość absurdalną, obraca się chwilami przeciwko sobie. W żaden sposób nie da się stworzyć z Klary Zachanassian konsekwentnej postaci. To symbol, znak w

okrutnym alfabetcie, nie kobieta z krwi i kości. Ale skąd zatem sceny sentymentalnej zadumy w łasku Konradowym, wspomnienia dziewczęcej miłości i bólu po straconym dziecku?

Wspomnienia Krzywdy, jakiej doznała młodziutka Klara w rodzinnym Guellen, wydają się w jakiś sposób motywować jej ponury warunek postawiony miastu. A przecież Durrenmattowi chodzi o kompromitację kapitalizmu uosobianego przez Klarę. Znowu więc niekonsekwencja.

Nieprzekonujący jest także dramat Illa, któremu współczujemy w jego walce o uratowanie życia. Ale walkę tę toczy jednocześnie o prawo do kontynuowania mieszczańskiego, spokojnego życia, u którego podstaw leża krzywda wyrządzona Klarze. Jeśli angażujemy się więc po stronie Illa, sens moralny sztuki ulega wypaczeniu.

„Wizyta starszej pani” jest sztuką metaforyczną, wydumaną konstrukcją, która prowadziła do totalnej krytyki kapitalizmu i mieszczaństwa. Nie ma tu uczuć autentycznych, tylko umowność. I tu ujawnia się błąd Grzyby. Pópróbował rozegrać sztukę w konwencji realizmu i dosłowności. Motywy mające tylko markować sytuację potraktował serio.

W takim ujęciu sprzeczny wewnętrznie utwór Durrenmatta stał się rozpaczliwie nieznośny. Pozostał w nim absurd, wywieltrzało demaskatorstwo. Anegdota wyparła metaforę. Grzyba — Durrenmatta.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Twórczość jednego z najbardziej głośnych i kontrowersyjnych reżyserów naszych czasów, Włocha Pier Paola Pasoliniego znany w Polsce w bardzo skromnym wymiarze. Pasolini pisarz, poeta, filozof, reżyser i teoretyk filmowy w jednej osobie jest twórcą wywołującym zachwyt i ogromne sprzeciw. Premierom jego filmów i innym wystąpieniom towarzyszy często atmosfera gorących dyskusji, a nawet skandalu. W Polsce spośród jego najciekawszych filmów oglądaliśmy przed dwoma laty „Króla Edypa”, obecnie, wśród typowych dla jego twórczości różności opinii, weszła na ekrany „MEDEA” — film podobnie jak „Król Edyp” sięgający do antycznych mitów i tak jak tamten będący bardzo osobistą ich trawestacją. Tak, jak „Król Edyp” — „Medea” może stać się przedmiotem najróżniejszych interpretacji, a zatem i osądów. W krytykach zachodnich pojawiały się nawet uwagi o ukrytym w „Medei” obrazie tragedii „trzeciego świata”, gniebionego i pozbawianego kultury przez świat cywilizowany, który w istocie jest dużo bardziej barbarzyński. W trudnym, pogmatwanym filmie Pasoliniego szukać można sensów wielu, co jest rzeczą przynależną dziełom znaczącym. Można się też przeciw temu filmowi buntować, w istocie są w nim rzeczy i pomysły kontrowersyjne. Sprzeciw ten może wynikać z tego, iż Pasolini zajmuje wobec antycznych motywów z

pozoru postawę barbarzyńcy. Jego filmowe wizje niszczą to, co tradycja kulturowa ugruntowała w świadomości cywilizowanego świata jako jedyną, jednorodną wizję antyku. Niszczą chyba jednak po to, by sięgnąć do jego prądów, by zgłębić tajemnicę rodzenia się kultury i cywilizacji, co więcej, psychologii ludzkiej i kształtowania się postaw moralnych.

„Medea” Pasoliniego odlega od Eurypidesowskiej wersji młotu o niej, sprzeczniwiera się również owym obiegowym wizerunkiem antyku. Trudno jednakże reżysera tego posadzać o to, iż nie zawierzył głębi i sensom tragedii wielkiego Greka, owego mistrza psychologii. Sięga chyba bardziej ku mitowi samemu, odczytuje go nie tyle na nowo, ile szuka jego potwierdzenia w wiedzy współczesnego człowieka o nim samym, o kulturach i cywilizacjach całego świata, jest tropiącym prawdę antropologiem.

Pasolini — antropolog nie jest jednak uczonym, nie jest też chyba intelektualistą. Jest artystą — wizjonerem kreującym ów świat dawny według wyobrażeń własnych. W jego obrazach dzięki Kolchidzie, a później cywilizowanego Koryntu znalazł miejsce dla obrzędów, rytuałów, strojów i rekwizytów, których pochodzenia szukać można w Afryce i Meksyku, Arabii i Grecji. W jego filmie brzmieć będzie muzyka, której motywy pochodzą będą zarówno z europejskiej muzyki klasycznej, jak również perskiej i japoń-

skiej. Świat „Medei” to świat cały z tak różnymi elementami swych kultur i religii, ale jednocześnie świat ludzi, którzy byli i są tacy sami, choć prógi cywilizacji przekraczają w tak różnych epokach.

Jest w „Medei” refleksja nad grozą i brutalnością świata barbarzyńskiego, w którym uderza przedziwna, łącząca go racja, wiary w sens brutalnego rytuału, łącząca ów świat wewnętrzną dyscypliną. W zderzeniu z tymi obrazami świat zewnętrznego ładu, harmonii, cywilizacji Koryntu wydaje się bardziej przerażający. Cywilizacja niewiele zmienia ludzi, Jazon po jej stronie stojący jest bardziej nieludzki niż zbrodniarz Medea.

Jest w Medei scena, naszym zdaniem, kluczowa dla interpretacji tego filmu — są nią dwie wersje zemsty Medei. W pierwszej Medea zabija swą rywalkę przy pomocy magicznych czarów — to wersja mityczna, w drugiej Glauka spełnia samobójstwo, to wersja ludzka, człowiek sam zdecydował o swym losie — nie bogowie i nie magia. Świat i jego porządek ludzie tworzą sami, bogów i magię przywołali dla swych racji, dla swych prób poszukiwania prawdy i przeciwstawiania się złu. Naprawdę są sami i sami owo dobro czy zło czynią. Ludzie mieli różnych bogów, różne wiary i różne kultury, i, o czym była mowa wyżej, prógi cywilizacji pokonywali i pokonują po dziś

dzień szybciej lub wolniej. Jednakże wszystko to, co jest w nich, jest wspólne wszystkim.

Czytając klasyczne dzieła wielkich Greków mówimy sobie zawsze, że to wszystko, co o człowieku sztuka mogła powiedzieć, przez nich zostało powiedziane. Nie dziw więc, że artysta współczesny w ich dziełach szuka potwierdzenia tych prawd. A to, że wzbogaca je wiedzą o dziejach ludzkości, daje ich własną, współczesną wizję, to chwala. Ze jest to wizja obrazowa, czasem okrutna, szokująca, to prawda. Ze są w „Medei” również pomysły nieudane (na przykład nieszczęśliwy, markujący Centaur, czy upostaciowane Złote Runo) to też prawda. Zapominamy o nich rychło, urzeczony wizualnym pięknem owego niezwykłego poetyckiego świata, w którym zdołał Pasolini zespolić w niezwykłej plastycznej harmonii elementy tak różnorodnych kultur i stylów, a także zapanować nad odmiennością jednolitością części pierwszorzędnej — barbarzyńskiej, z którą, o dziwo, współgra nawet pewien dramatyczny chaos i części drugiej, uderzającej hieratycznością czy monumentalnością operową. Nawet budząca pewne rozbieżne oceny gra Marii Callas nie może tu podlegać ocenom zwykłym. Wydaje się, że Callas nie gra, po prostu jest taka. Jaka jej rolę i miejsce w swym filmie wyznaczył dziwny i wielki Pier Paolo Pasolini.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„ŁAZNIA TURECKA”

„Łazienka turecka”, obraz zamówiony u Ingresa przez księcia Napoleona był pierwotnie prostokątnym, a dopiero później otrzymał kształt koła. Cześć mu? Oto jedna z kobiet leżała podobno w tak „nieprzystojnej” pozycji, że usunięto ją, a obraz wycięto w kształt koła.

Ponad czterdzieści lat, jak twierdzą niektórzy, pracował Jean-Auguste-Dominique Ingres (1780-1867) nad swą „Łazienką turecką”, a gdy ją skończył był starcem około osiemdziesiątki. „Zdumiewający katalog cielesnych obsesji i chłodnych marzeń erotycznych” — określa dziś tygodnik „L'Express” „Łazienkę turecką” a w roku 1919 pisał J.E. Blanche w „Revue de Paris” że „jest to dziwny obraz, pozornie chłodny, a jednak bardziej odurzający niż kadzidła haremu...” „Ten krąg rozkwitłych kształtów, te karnacje o bieli ośnieżającej to „Łazienka turecka”, płótno, na którym wszystko, do najdrobniejszego szczegółu nabiera wibracji zharmonizowanej z walorem całości” — pi-

sze Pierre Courthion w swojej przedmowie do książki „Ingres w oczach wspaniałych i w oczach przyjaciół”.

Inspiracją do malowania obrazu stał się list lady

i modele. Jak sobie malarz poradził w tym przypadku? Oto Ingres przykładał do wieloletnich studiów. Czyta opisy podróży po Turcji, przegląda setki ilustracji, kopiuje



Obraz Martiala Raysse (1965)

Montague z 1 kwietnia 1717 roku opisujący odwiedzinę lady w łaźni w Adriano- polu. Sam malarz nigdy nie podróżował po Turcji, nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do Włoch. Obraz mógł być jedynie tworem wyobraźni. Wydaje się jednak, że Ingres nigdy nie namalował z fantazji. Potrzebne mu były realne

szkice, kalkuje. Układy grup przerysowuje z reprodukcji sztuki antycznej. Gdy znajdzie ilustrację leżącą na sofie Turczynki palającej tytoń, przeniesie ją niemal dokładnie do swego obrazu, pozabawisz ją przedtem ubrania. Kalkuje tureckie piękności grające na instrumentach. Zapomina przy tym, że wizerunek dziewcząt po prze-

obraz do ściany — wydawał się jej zbyt nieprzyzwyczajony. Inni po dziś dzień są pełni uznania.

„Nawet wiersze Baudelaire'a — pisał Blanche — nie zawierają w sobie więcej tajemniczej pikanterii niż to szare i płaskie płótno. Jest to chorobliwa i perwersyjna wizja starego człowieka, który był fanatykiem kobiecej piękności. Dzieło zadziwiające, zmysłowe, a jednocześnie malowane niby drzewi wedle prawideł geometrii, matematyki i nainym wzięciem malarza prymitywów”.

„Łazienka turecka” jest obecnie w Luwrze obiektem szczególnej wystawy. Pokazano bowiem obraz Ingres'a na ile całej olbrzymiej i obfitej dokumentacji jaka służyła malarzowi przy tworzeniu dzieła. Jest więc tu około trzydziestu szkiców Ingres'a. Ilustracje z których korzystał przekalkowując je lub przerysowując, cała masa lnych materiałów. Ponadto pokazano na wystawie obrazy malarzy współczesnych od Picassa i Man Raya do Rauschenberga i Martiala Raysse, którzy często tworzyli pod wpływem zafascynowania „Łazienką turecką”. Najbardziej charakterystyczny jest tu chyba „Tableau turc et invraisemblable” Martiala Raysse, obraz będący niemal kopią sceny z „Łazienki tureckiej” Ingres'a.

WISZACE OGRODY SEMIRAMIDY

Nie bardzo wiadomo po co, ale iracki minister informacji, Chafik el Kamali postanowił zrekonstruować legendarne ogrody wiszące babilońskiej królowej Semiramidy.

Cena rekonstrukcji wyniesie około 30 milionów dolarów, a czas budowy pięć lat.

Jeszcze trochę — kpią sobie niektórzy — a ujrzymy wkrótce zrekonstruowaną wieżę Babel.

Minister Chafik el Kamali sądzi, że na rekonstrukcję ogrodów królowej Semiramidy uzyska fundusze z UNESCO, gdyż jak twierdzą zwolennicy rekonstrukcji, chodzi tu o wydatki na cele kulturalne, nie zaś o cele turystyczne jak w

Grecji, gdzie powstał projekt odbudowy jednego ze starożytnych cudów świata — kolosa z wyspy Rodos.

BOKSEZY SPRZED 3.500 LAT.

W Atenach pokazano po raz pierwszy trzy freski które archeolog prof. Spyridon Marinatos wykopał na egejskiej wyspie Thera. Gruba warstwa pyłu wulkanicznego i kamieni zakonserwowała malowidła sprzed trzech i pół tysiąca lat. Jeden z fresków przedstawia dwóch bokserzy walczących się chłopców, przy czym zwraca uwagę niezwykle dokładny rysunek anatomii ciała.

Drugi fresk ukazuje dwie stylizowane antylopy wschodnio-afrykańskie z gatunku Oryx Beissa w

„przypuszczalnie miłośnej scenie”. Trzeci fresk jest symbolicznym przedstawieniem nadejścia wiosny. Freski zostały odnalezione w formie potłuczonych na drobne kawałki i grupa archeologów poskładała je w całość. Zachowały się jednak doskonale barwy fresków.

KSIAŻKA DLA PSÓW

Jedną z aktorek amerykańskich miłośniczek psów, otrzymała w podarunku wydawaną w Nowym Jorku książkę... dla psów. Stronice z wizerunkami kości i psich przysmaków są z odpowiednimi zapachami. Jedną z kartek pachnie kotem. U psich „czytelników” wywołuje ona natychmiastową reakcję — pies warczy, szczeka i szugałunku Oryx Beissa w

JERRY LEWIS W PARYŻU

Ostatnio przez dwa tygodnie występował w paryskiej Olimpii Jerry Lewis uważany za jednego z najlepszych komików filmowych. Aktor ma 45 lat. Występował w 27 filmach,

których jest scenarzystą, reżyserem i producentem. Prasa francuska pisze z wielkim uznaniem o jego występach, podkreśla jego niezwykle żywe mimiczne i jeśli się na coś uskarża, to na to, że słynny komik czasem zbyt dużo mówi.



Jerry Lewis



„Łazienka turecka” — Ingres

Bez strachu

ZYCIE ZWIERZĄT

Często oglądam zwierzęta — zabijam je, uciekam przed nimi, głoszę je lub bezstam — domowe zwierzę przynosi mi w zębach gazetę lub nawet tygodnik społeczno-literacki, albo porzywa mi i rozgryza pantofel, groźnie warczą i udają zwierzę bardzo dzikie, groźne i srogie. Myślę, że mój stosunek do zwierząt jest sprawiedliwy — przyznaję im godność osobniczego istnienia, zwierzęta są indywidualnościami. Znam psy dobrodusze i psy złośliwe, psy wierne i wesole oraz psy fałszywe i smutne. Podobnie sprawy stoją z kotami, z krowami, a budując twierdzenie przez analogię, powiem, że podobnie stoją sprawy z antylopami gnu, z lwami i z rosomakami. O osobowości zwierząt wiedzą ci wszyscy, którzy je hodują, pastują i sami nawzajem są przez nie piastowani, hodowani. Nie wiedzą natomiast o tym niektórzy uczeni, którzy pragną wmówić nam, że zwierzęta są pozbawione osobowości, psychiki, czy też świadomości. Uczeń ci trzymający za Kartezjuszem, że zwierzęta są rodzajem automatów, a ich poczynania to zespół bezmyślnych odruchów. Czytałem niedawno grubą, uczoną księgę twierdzącą o życiu zwierząt. Otóż jej ścisłogodny Autor wydał mi się bardzo podejrzanym. Z pamiętaniem agitował za sepami, hienami i szakalami, natomiast z furją atakował wiewiórkę i jeże. Oplwał wiewiórkę i jeże z wyrażnym akcentem osobistej nienawiści, nawoływał wyraźnie do rzezi, do rozlewania krwi. Trudno mi się oprzeć wrażeniu, że sepy, szakale i hieny wsunęły mu coś w łapę, natomiast z jeżami i wiewiórkami ma na piętce jakąś brzydki i właśnie osobliwą sprawę. Mniejsza z uczonymi i ich księgami — my patrzymy na zwierzęta, a zwierzęta na nas. Osobiście wątpię, czy mój ulubiony pies widzi we mnie wodza stery, do której imaginacyjnie należy. Natomiast sądzę, że mój pies zna mnie lepiej niż wszyscy znani mi ludzie, wie, że jestem jednocześnie bardzo pożytny i bardzo staby. W pewnych kwestiach słucha mnie, a w innych obejmuje przewodnictwem, wspierając mnie. Pies zatem wyrobił sobie na mnie precyzyjny i bliski prawdy pogląd, wie, że potrzeba mi gazet, tygodników społeczno-literackich i pantofli. Przyznaj mi je w zębach, takownie nie ingerując w treść — tym różni się od krytyki literackiej — jest bezkrytyczny weale nie z braku psychicznych, lecz z przyjaźni i dobrego ułożenia towarzyskiego. Natomiast pies uważa, że niepotrzebnie więcej niż ja wie o kości i rezerwie sobie prawo do wyłącznego dysponowania kością. Ma rację, co ja bym z kością zrobił rozsądnie? Pewnego dnia siedziałem w mało zaludnionej kawiarni i poczułem, że ktoś mnie obserwuje ciepłym, mądrym spojrzeniem. To spoglądał na mnie pies, który kontentował się skromnym miejscem pod stołem swego pana.

BERNARD SZTAJNERT



MŁODZI W ZDUŃSKIEJ WOLI

GDZIE ŁATWIEJ? — POZYTYWNY FERMENT W MIEŚCIE — TŁOK AKTYWNY — LOSY KLUBU „PLASTUS” — KTO ZABIERZE PIWNIĘ? — KŁOSZ Z PIWEM — KLUB NA WYSPIE — PREMIA W POSTACI BAZY.

Wśród działaczy kulturalno-oświatowych w dużych miastach panuje opinia, że pracę na tej niwie ogromnie utrudnia mnogość atrakcji i rozrywek typu kulturalnego. Oczywiście w dużych miastach dom kultury, klub czy świetlica nie są jedynymi ośrodkami oddziaływania — żeby więc ludzi do nich zachęcić, trzeba wychodzić poza utarte schematy, trzeba szukać nowych form, trzeba działać tak, aby ów klub czy dom kultury oferował kulturalną atrakcję, a nie sztampę.

Mogłoby się wydawać, że praca kulturalno-oświatowa w małych miastach, daleko od teatrów, kin, sal koncertowych i estrad, jest o wiele łatwiejsza, że ciąg do placówek k.o. jest tam niejako mechaniczny. Jest w tym wiele prawdy, ale żeby nie było zbyt wiele szczęścia na raz, w tych mniejszych miastach także mają działacze kulturalno-oświatowi swoje kłopoty —

i kto wie, czy nie większe niż w Łodzi czy Warszawie.

Byłem niedawno w Zduńskiej Woli, aby spenetrować działalność kulturalno-oświatową ZMS-u. Wyjechałem bardzo zbudowany; młodzież potrafiła tu wprowadzić wiele pozytywnego fermentu, wciąż zaskakuje nowymi pomysłami — kluby „Novum” i „Plastus” są co wieczór pełne młodzieży, na spotkaniach i prelekcjach toki nie tylko wtedy, gdy przyjeżdża Melchior Wańkowicz. Jest to zresztą „tłok aktywny”, młodzi chętnie dyskutują, nie są milczącymi i „przymusowymi” słuchaczami, ale współtwórcami ciekawych sympozjów dyskusyjnych, ciągnących się nieraz godzinami.

To bardzo pięknie i dobrze, że owa autentyczna aktywność młodzieży działacze ZMS-u potrafią ująć w ramy organizacyjne, że nie ograniczają tymi ra-

mami, ale w ich obrębie stwarzają atmosferę niewymuszoną i kameralną.

Ale jednocześnie baza owej działalności kulturalno-oświatowej ZMS jest ubożeszna. Gdyby nie pomoc jednego czy drugiego zakładu pracy, który udostępnia swoje pomieszczenia młodzieży — klubom groziłaby faktyczna zagłada.

Był zresztą czas, kiedy ZMS-owski „Plastus” osiągnął rangę najwyższą w województwie, ale potem klęska remontu wyprawo-dziła placówkę z tradycyjnego lokalu do zastępczej kłitki. Remont trwa — chodzą po Zduńskiej Woli słuchy, że po jego zakończeniu ZMS nie wróci do dawnej „Piwnicy”, która tam w remoncie inwestuje pieniądze i inne ma plany... Chcę wierzyć, że to tylko plotki, bowiem nie wolno lekką ręką przekreślić ponad dziesięcioletniej tradycji młodzieżowej „Piwnicy”, która szczyła się działalnością o randze ogólnowojewódzkiej.

Dziś „Plastus” egzystuje w maleńkim lokaliku, dzięki dobrej woli Miejskiego Przedsiębiorstwa Inżynierijnego, ale jest to lokalizacja — pomijając szczupłość pomieszczenia — mocno niefortunna i dziwna, że nikt w Zduńskiej Woli tego nie zauważył. Otóż, obok klubu jest inna placówka — kłos z piwem.

Placówka ta emanuje na okolice w sposób widoczny i dokuczliwy, a jednak...

Naprzeciw kiosku znajduje się komenda MO, obok szkoła, z drugiej strony klub ZMS... Przepisy w tym względzie nic nie mówią o milicji i ZMS, ale stanowią wyraźnie, że kioski z piwem nie mogą być sytuowane w pobliżu szkoły. Jest więc precedens, jest przepis prawny — a jednak nie ma siły, aby tę placówkę „wyższej użyteczności publicznej” przenieść w inne miejsce. Wszyscy to widzą i wszyscy o tym wiedzą, że uciążliwe sąsiedztwo stwarza klubowi trudność nie do opanowania choćby w wypadku wieczorów tanecznych...

Młodzież w Zduńskiej Woli ma dobre pomysły i dobre chęci, ale sami wszystkiego nie zrobią. Oto niedawno zaproponowali urządzenie na wyspie w parku — letniego klubu. Słusznie — wiosna w pełni — idzie lato, któż będzie chciał siedzieć w zadymionym lokaliku. Myśl słuszna — wszyscy o tym wiedzą, ale znów idzie o sprawną sprawę przeprowadzenia na wyspę instalacji elektrycznej... A bez niej — wiadomo — ani rusz. Przy świecach w parku siedzieć trudno.

Nie chcę dać do zrozumienia, że działalność kulturalno-oświatowa ZMS na-

trafia w Zduńskiej Woli na mur obojętności. Tak przecież nie jest. Gdyby nie pomoc i dobra wola miejscowych działaczy oraz przemysłu — dziś nie byłoby tej aktywności i tego autentycznego zainteresowania sprawami kultury, polityki, sztuki — jakie wykazuje tutejsza młodzież. Po prostu ZMS nie miałby żadnej bazy dla swojej działalności, nie mógłby upowszechniać wiedzy, nie mógłby wychodzić naprzeciw zainteresowaniom młodzieży.

Chodzi mi więc o to, że prężność i efektywność zetemesowskiej działalności w sferze kulturalno-oświatowej zasługuje na premię w postaci lepszej bazy materialnej. Rozumiem pod tym pojęciem i światło na wyspie i usuwanie spod nóg takich kłód, jak demoralizujące sąsiedztwo kiosku z piwem, gwarantując powrót do dawnego lokalu w piwnicy, gdzie przed jedenastą laty rozdził się klub „Plastus”...

Zetemesowcy ze Zduńskiej Woli nie chcą i nie potrzebują być rozpieszczani — sami wiedzą, czego chcą i potrafią pracować. Ale pomoc im się należy, zwłaszcza, że swoją działalnością na terenie miasta udowodnili, że zasługują na pomoc i zielone światło.

JERZY WIDOK

